

Maciej Rysiewicz

**NĘDZA POLSKA,
czyli podróż po III RP**

Maciej Rysiewicz

**NĘDZA POLSKA,
czyli podróż po III
RP**

*Wyjeżdżajcie już chłopcy od „Piasta”.
Pora, chłopcy, opuścić tę dziurę.
Babę płaczą, napiekły Wam ciasta,
złota klatka uniesie Was w górę...*

Jan Michał Zazula,
Ostatnia szychta na KWK „Piast”

Zamiast wstępu

Adlaczego zamiast „nędza polska” nie napisać „polska nędza”? Cóż za różnica? I żeby się wytłumaczyć, warto odnieść się do ugruntowanego w polskiej świadomości obrazu, określanego jako „nędza galicyjska”. Chodziło o ludzką biedę, zacofanie, łachmany, materialne i egzystencjalne dno, od których nie ma właściwie ucieczki. Taki obraz XIX-wiecznej Galicji, czyli ziem polskich znajdujących się pod zaborem austriackim, jako pierwszy rozkolportował Stanisław Szczepanowski w książce z 1888 r. pt. „Nędza w Galicji w cyfrach...”. Nie o takiej nędzy ma być ta opowieść, chociaż nie brakuje jej w Polsce, którą od 1989 roku nazywamy III RP. I niejedną statystykę opublikowano na ten temat, i niejeden reportaż o „wykluczonych” po 1989 roku.

Obok tej materialnej nędzy, biedy, a najczęściej upodlenia „człowieka prostego”, współczesna Polska roztacza wokół nas nędzę o stokroć większą, nędzę małości, głupoty, pychy, oportunisty, egoizmu, brzydoty, korupcji, wreszcie najzwyczajniejszej, podłej zdrady nie tylko rozumianej w kategoriach naszego państwowego i narodowego interesu. Bo zdrada, jak wiadomo, ma wiele twarzy; albo inaczej; ciągle zakłada nowe maski. I dlatego zatytułowałem ten zbiór reportaży i esejów „Nędza polska”, próbując zdjąć z tak skonstruowanego opisu, w jakimś stopniu, perspektywę jednostkowego odium ludzkiego, pojedynczego losu. Jednocześnie w ostatecznym rozrachunku, chciałem i takiej perspektywy nie stracić z oczu.

... i chwila wspomnień

Sroga i mroźna zima przełomu 2011 i 2012 roku nastroiła mnie nostalgicznie. Postanowiłem wrócić na chwilę do źródeł i jeszcze raz, jak przed blisko pięćdziesięciu laty z tatą, zdobyć grybowską Rosochatkę. Wtedy, w latach 60. XX w., zostałem wniesiony na górę (753 m n.p.m.) na ramionach ojca, bo lat miałem ledwie kilka, ale obserwując świat z perspektywy „na barana” pozostało w mojej pamięci mnóstwo szczegółów tamtej wyprawy. Może dlatego, że, jak się niedługo okazało, to był ostatni nasz, razem z ojcem, przemierzony turystyczny szlak. Tata, rocznik 1919, naznaczony kłeskami swojego pokolenia, konspiracyjnymi latami okupacji,

a potem więzieniami Mokotowa i Rawicza zmarł w 1967 roku w wieku niespełna 47 lat.

Uznałem, że po latach warto poszukać kiedyś wydeptanych ścieżek i dlatego w ten mroźny styczniowy poranek wyruszyłem z Grybowa, początkowo maszerując drogą krajową do Nowego Sącza, żeby w okolicach grybowskiego browaru zboczyć na polne dukty i bezdroża. Brnąc w głębokim śniegu postanowiłem przed zdobyciem Rosochatki obejść okoliczne wsie: Siołkową, Starą Wieś, Ptaszkową i Cieniawę. W ostatnim półwieczu zaszły tutaj wielkie zmiany i wszystko wygląda dzisiaj inaczej. Drewniane chałupy kryte strzechami zniknęły z wiejskiego krajobrazu, a zastąpiły je nie zawsze najpiękniejsze murowane domostwa. W obejściach już tylko bardzo rzadko można dostrzec podwórkowe studnie, a drewniane płoty to istny rarytas współczesnej architektury ogrodowej. Wiek XIX, który zaglądał do galicyjskiej wsi w czasach mojego dzieciństwa, niepostrzeżenie, ale i nieodwołalnie odszedł w niebyt historii. Błądząc wokół Rosochatki uświadomiłem sobie, że zdrony nie mogę już liczyć na garniec ciepłego mleka prosto od krowy z porannego udoju i pajdę razowego chleba ze śmietaną lub miodem jako najwykwintniejszą omastą, które rumiana, a nieznaną gospodyni zaferuje obcemu, widząc, jak bardzo jest strudzony wędrowną i słusznie przeczuwając, że kiszki grają mu marsza. W sieni nie zagdadzą kury, bo już nigdzie nie ma sieni, a w przedpokojach nikt kur nie trzyma, a w ogródkach nie stoją ule, przykryte grubymi czapami śniegu, czekając aż wiosna wyrwie je z białej, puszystej otchłani. Wszystkiego zrobiło

mi się żal, ale może najbardziej pni z pszczołami, które jeszcze tak niedawno stały w każdej sądeckiej zagrodzie, a dzisiaj ze „święcą” przychodzi ich szukać.

Wreszcie stanąłem na szczycie Rosochatki. Spojrzałem na wysoki metalowy krzyż wystawiony staraniem ks. Romana Wanatowicza w 1982 roku dla upamiętnienia 600-lecia obecności Cudownego Obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej w klasztorze OO Paulinów w Częstochowie i zadumałem się nad kruchością polskiego świata.

Do domu w Wilczyskach wróciłem przez Krużłową i Wojnarową. Przygotowane wcześniej polana czekały, aż strawi je w piecu rozpalony ogień. Rychło od ceramicznych kafli na pokój zaczęło buchać niedzisiejsze ciepło.

Czy właśnie wtedy postanowiłem zmierzyć się z nędzą polską, w której trwam, chcąc nie chcąc i na przekór wszystkiemu od końca lat 50. XX wieku, a świadomie od przelomu lat 60. i 70. XX wieku?

A może to wszystko zdarzyło się zupełnie przypadkowo i nie miałem na wypowiedziane i zapisane w tej opowieści słowa żadnego wpływu? Polskie zmory dopadły mnie jednak ostatecznie i nieodwołalnie. I chwyciły za gardło. Tylko niektóre z nich udało mi się wykrztusić z siebie w tej książeczce.

„Ostatnia szychta na KWK PIAST” Jana Michała Zazuli

Wiersz Jana Michała Zazuli (pseud. Jakub Broniec) pt. „Ostatnia szychta na KWK PIAST” dopadł mnie w stanie wojennym na jakimś bibułkowym, z maszyny do pisania, odpisie. Przepisałem i ja, i przekazałem dalej! Taki był wtedy obyczaj i konspiracyjny imperatyw. Nikt nie wiedział, kto jest autorem tych strof. A słowa Zazuli były wstrząsające, bo dotarły już do nas wcześniej hiobowe wieści, z 16 grudnia 1981 roku, na temat tragicznej w skutkach pacyfikacji kopalni „Wujek”. Słowa Jakuba Brońca nie opuszczają mnie do dzisiaj, tak jak „Pieśń Alpuhara” z „Konrada Wallenroda” Adama Mickiewicza, której ojciec nauczył mnie na pamięć, gdy miałem ledwie 5 lat.

„Ostatnia szychta...” stała się dla mnie symbolicznym obrazem stanu wojennego. Dopiero po latach poznałem imię

i nazwisko autora i jego tragiczne losy. I będąc tu i tam, ciągle nucę sobie tę balladę, bo słowom Zazuli oprawę muzyczną, przeistaczając je właśnie w muzyczną balladę, nadał inny wybitny niezależny twórca Jan Krzysztof Kelus. Na youtube można dzisiaj tę balladę odnaleźć (i posłuchać) – na szczęście.

Przypominam niniejszym kilka słów oficjalnej biografii Jana Michała Zazuli, zaczerpniętych z sieci. Przypominam także „Ostatnią szychtę na KWK PIAST”. Ten tekst nie daje mi spokoju...

„Jan Michał Zazula, pseudonim Jakub Broniec, znany też jako Jaśko (ur. 1953; zm. 1997 na Mont Blanc) – polski fizyk i alpinista, specjalista w zakresie fizyki promieniowania, autor tekstu słynnej piosenki okresu stanu wojennego pt. *Ostatnia szychta na KWK Piast* wykonywanej przez Jana Krzysztofa Kelusa, który był także autorem muzyki. Był miłośnikiem gór, autorem piosenek ogniskowych. W momencie napisania „Ostatniej szychty na KWK Piast” był pracownikiem Instytutu Fizyki Jądrowej PAN w Krakowie oraz współzałożycielem zakładowej „Solidarności”. Piosenka w wykonaniu Jana Krzysztofa Kelusa trafiła do drugiego obiegu za sprawą podziemnego radia „Solidarność”. Z obawy przed aresztowaniem autor podpisywał swoje teksty pseudonimem Jakub Broniec, nawiązującym do pseudonimu Broniec, który w czasie II wojny światowej nosił jego wujek Leszek Guzy – członek Szarych Szeregów. Zazula uczestniczył w zapisie przebiegu procesu związkowców z Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Urzędów Chemicznych i Chłodniczych, by

uniemożliwić fałszerstwo. Od 1984 wraz z rodziną przebywał na emigracji, początkowo w Niemczech w ramach prestiżowego stypendium Międzynarodowej Agencji Atomistyki, następnie we Francji i Szwajcarii. Zginął zmieciony przez lawinę w czasie wycieczki ze studentami na masyw górski Mont Blanc. Pochowany na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie”.

Ostatnia szychta w KWK „Piast”

Wyjeżdżajcie już chłopcy od „Piasta”.

Pora, chłopcy, opuścić tę dziurę.

Baby płaczą, napiekły Wam ciasta,

złota klatka uniesie Was w górę...

Wyjeżdżajcie, już szychta skończona!

Pielęgniarki i lekarz są w szatni.

Porozwożą Was suki po domach.

Mają wszystkich. Wasz szyb jest ostatni.

Pan pułkownik sam wyciągnie rękę,

gdzieś w kantorku bulgocze już czajnik.

Żona z „Wujka” ma czarną sukienkę,

a poza tym – jest wreszcie normalnie!

Śpijcie w domu spokojnie, do rana,

a zapłacą Wam, o cóż targować?

Jutro druga pojedzie w dół zmiana,

trza fedrować, fedrować, fedrować!

*Ze dwunastu nie wróci górników,
czterech zniknie, trzech stanie przed sądem,
trzech oplują wieczorem w „Dzienniku”,
dwaj są nie stąd... A reszta jest z rządem.*

*Władza w Wasze przebrana mundury
i bandyci, przebrani za władzę,
znów na Placu Defilad, u góry,
na przysięgę żołnierzy prowadzą.*

*Tylko honor jest Wasz, solidarni,
Bryłą węgla zaś polskie sumienie.
Na Was czas, wyjeżdżajcie z kopalni,
wolna Polska, zepchnięta pod ziemię!*

*Ład i spokój, i praca na górze,
pojedyncze są jeszcze przypadki...
Wolny kraj!!! Co Was trzyma w tej dziurze?
Czas się zbierać. Czas wsiadać do klatki.*

Aaa... i zapomniałem jeszcze o jednym. Żona z „Wujka”
ma do dzisiaj czarną sukienkę.

To też jest Polska

Sobotni wczesny poranek, koniec czerwca 2013 roku, chyba nie ma jeszcze szóstej; przed małym wiejskim sklepikiem, gdzieś w Polsce, stoi kilku mężczyzn. Wzrok wczorajszy, ale nadzieja, że łyk piwa poprawi trochę drzenie dłoni i uśmierzy „egzystencjalny” ból. Jak to się tutaj mówi, są „po przepitce” i próbują wspominać co, gdzie i ile wypili wczorajszego dnia. Nie jest to jednak takie proste, może lepiej zatem pogadać o pogodzie, bo właśnie zanoszą się na deszcz. Mimo wszystko rozmowa się nie klei, chyba za mały zasób słów. Nie da się wszystkiego opisać przy pomocy uniwersalnego czasownika „tegować”, chociaż pada on często i gęsto, który oznacza „robić”, „chodzić”, „mówić” etc., w zależności od kontekstu może oznaczać wszystko oraz wszelkich pochodnych rzeczownika „kurwa”, zastępującego znaki przestankowe. Mężczyźni spod sklepu nie wiedzą, kto to jest Bartłomiej

Sienkiewicz, myślą Tuska z Kaczyńskim, do jakichkolwiek wyborów zresztą nie chodzą, ale czasami tęsknią za komuną; może dlatego, że wtedy bardziej wódka się lała, a teraz piwo. Myślę sobie, że z dwojga złego piwo lepsze, podobno mniej szkodzi, a efekt ten sam.

Gazet oczywiście nikt tutaj nie czyta, książkę widzieli ostatni raz w szkole, a telewizory, które ich matki lub żony włączają z samego rana, tak jak oni otwierają piwo, działają tylko na podświadomość; ale macherom od propagandy właśnie o to chodzi. W sklepie leży sobie zeszyt, w którym właściciele skrupulatnie zapisują wydatki piwoszy, bo średnio od 10. każdego miesiąca muszą już „borgować”, znaczy kupować na kredyt, bo zasiłkowych pieniędzy nigdy nie wystarcza do pierwszego. Praca? Od czasu do czasu gdzieś na jakiejś budowie, na czarno oczywiście, najczęściej do pierwszej wypłaty, bo wtedy pić się chce okrutnie. A zaspokoić pragnienie trzeba skutecznie, a potem spać się chce. I gdyby ktoś chciał szukać analogii, to od razu zastrzegam, żeby nie przywoływać w pamięci ławeczki z serialu „Rancho”. To nie są Wilkowyje, tylko zwykła, całkiem realna i przyziemna, obskurna i nędzna powszedniość dnia, tu i tam gdzieś w Polsce... Moi koledzy spod sklepiku witają mnie gromkim: – Co tam u gulonów warszawskich słysząc („gulon” – tutaj obraźliwie i pogardliwie o warszawiakach, ale obrażać można także wszystkich zamiejscowych)? Potrafią mnie także tytułować per „panie ministrze” – wtedy jest po prostu zabawniej, a oni

w gruncie rzeczy lubią być dowcipni. Dookoła rozbrzmiewa krótki rechot. W końcu znamy się przecież od dziecka. Przywitać muszę się obowiązkowo. Pominięcie tego rytuału może skutkować infamią za śmiertelne zlekceważenie. A człowieka lekceważyć nie wolno, oj nie wolno, a im bardziej pijany, tym wymaga więcej szacunku. O paradoksie, sami do siebie zwracają się per „ty kurwo”, ale nikogo to nie razi, bo to jest tak raczej ciepło i pieszczotliwie powiedziane, choć moja żona nigdy nie była w stanie w to uwierzyć! Rękoczynów też tutaj nikt od dawna nie widział, bo do rękoczynów trzeba zwykłej kondycji i tężyzny fizycznej. Kto by się tam męczył rękoczynami! Czasem wpadnie pod sklepik zniecierpliwiona „baba” jednego z „chłopów” i wyzywając go od najgorszych, kopiąc i okładając, gdzie i czym popadnie, z wrywaniem włosów włącznie, zmusi nieszczęśnika do powrotu do domu. Śmiechu jest wtedy co niemiara, a na owej „babie” nikt suchej nitki nie zostawi, bo jak można tak prześladować Bogu ducha winnego Jaśka czy Józka. Zresztą, wszyscy mówią przed sklepem, że baby to „połówki”, tzn. mają tylko pół mózgu, więc za dużo pretensji i tak nie można do nich mieć. Za dzień lub dwa wszystko wróci do normy. Znać taką Polskę? Może tak, może nie. Ktoś powie, że tak jest wszędzie na świecie. Tam jest nędza, to i u nas musi być. Czasami statystycy o niej napiszą dysertacje naukowe. A politycy już dawno nie uwzględniają moich znajomych spod sklepiku w swoich rachubach; jakichkolwiek. Ten świat dla nich nie istnieje. A przecież to też jest Polska

i to już dawno przestał być w moim kraju margines życia...
(Wszelkie podobieństwo do miejsc lub osób należy uznać za
całkowicie przypadkowe!)

Chaos

W Polsce normą życia publicznego stał się chaos. Nie ma on jednak nic wspólnego z mitologicznym chaosem, opisanym przez starożytnych Greków, z którego wyłonił się uporządkowany kosmos. Ten współczesny polski chaos to raczej systemowy wyróżnik ustroju, który doprowadził właściwie do upadku państwo i, zamieszkujące pomiędzy Bugiem i Odrą, społeczeństwo. Stykamy się z chaosem tutaj wszędzie. W NFZ-owskiej służbie zdrowia, w Sejmie, w szkołach kształcących funkcjonalnych analfabetów, na dworcach kolejowych po zmianie rozkładu jazdy i w ZUS-ie, gdy próbujemy dodzwonić się do tzw. infolinii. Chaos był sprzymierzeńcem smoleńskich zamachowców, a teraz wyznacza działania Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Wysyp kolejnych afer w świecie polskiej polityki czy

gospodarki w ostatnich 25 latach, ujawnia z tygodnia na tydzień kompletną degrengoladę systemu tzw. III RP i jej instytucji. Jednak w tym szaleństwie jest metoda!

Katastrofa goni katastrofę; jak nie krwawe porachunki Pruszkowa z Wołominem, to czołowe zderzenie pociągów, eksplozja gazu w kamienicy albo załamany dach pod ciężarem śniegu i dziesiątki ofiar. Cyklicznie wybucha także metan w śląskich kopalniach! Ludzie zarządzani chaosem skupiają się wtedy na bohaterских ratownikach, którzy z nadludzką determinacją walczą o każdą iskierkę życia, a widzom, a właściwie telewidzom, dają uludę dumy. Nie liczy się już nieludzki chaos. Co się stało, to się nie odstanie, ale człowiek, to brzmi dumnie. Ja też bym tak ratował. Państwo „zdało egzamin”. Bohaterscy chłopcy, bezwiednie, żyrują kolejne oszustwo!

Nadchodzą wybory, no i proszę, jak na zawołanie mamy awarię systemu informatycznego Państwowej Komisji Wyborczej. Co tam awaria! Czy ktoś jeszcze wierzy, że na naszych oczach nie dochodzi do fałszerstwa? W Polsce nie ma pół dnia spokoju, żeby media nie donosiły o kolejnych udrękach, aferach, tysiącach wypadków na drogach. Rok w rok ginie w nich blisko 5000 osób. A naród przygląda się temu ze stoickim spokojem i charakterystyczną rezygnacją niewolników. Ludzie już wiedzą, że teraz być może kolej na nich w tym szczególnym biegu przez przeszkody do zagłady. To już nie jest chocholi somnambuliczny taniec z „Wesela” Wyspiańskiego, a raczej naturalistyczny horror zdegenerowanego moralnie „ludu z miast i wsi” z „Wesela” Smarzowskiego.

Jeśli ktoś jeszcze uważa, że mamy do czynienia z przypadkiem, ze zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności, niechaj jak najszybciej zrewiduje ten pogląd.

Bo (niestety) prawda jest zupełnie inna. III RP została właśnie tak zaprojektowana. Cały czas trzeba utrzymywać ten stan napięcia, dezorientacji i dezinformacji, żeby podsycać w ludziach zniechęcenie i zaszczepiać w nich apatię, a rzutkie jednostki wyganiać z kraju albo spychać do „trzeciego i czwartego obiegu”. Od czasu do czasu używa się w tym celu brutalniejszych argumentów i ginie komendant policji albo jakiś prominentny polityk. Nie mówcie mi, że to nie ma żadnego znaczenia dla zwykłego zjadacza chleba. Chaos wkrada się bowiem wszędzie, prześlizguje się przez wszystkie zakamarki tkanki społecznej. Zarządza myśleniem! I – *de facto* – alienuje sąsiada od sąsiada!

Chaos, jako szkielet organizacyjny ustroju, jest skuteczniejszy od czerwonej dyktatury, bo jest o niebo mniej fizycznie represyjny wobec jednostki. Przynajmniej takie sprawia wrażenie! Jakby to powiedzieć symbolicznie, ludzie tutaj rzadziej giną bez wieści i na mniejszą skalę tropi ich „seryjny samobójca”. Chociaż ofiary wcale nie są takie małe, zważywszy na skalę katastrof i wypadków drogowych. Jednak śmierć pod zwałami gruzu albo na przodku w kopalni ma jednak zupełnie inny wymiar propagandowy, niż wyrwanie paznokci, a potem strzał w potylicę „na Mokotowie”!

W realnym socjalizmie ciągle dochodziło do społecznych kryzysów, do rewolty społecznej. W państwie zarządza-

nym przy pomocy chaosu na rewolucję nie ma miejsca. Likwiduje ją w zarodku wspierający chaos przymus ekonomiczny wyniesiony do statusu „pogańskiego bożka”. Ramię w ramię z dyktaturą dóbr materialnych stoją instytucje, które tylko od frontu przypominają reprezentację państwa prawa i wolności obywatelskich. Posłowie udają w tej maskaradzie posłów, sędziowie sędziów, a rzecznicy praw rzeczników praw. I wszyscy razem pilnują swojego partykularnego interesu, bo republikańskie dobro wspólne nie ma żadnej wartości. Liczy się uniwersalny i wszechobecny oportunizm. I tylko taka postawa we „wspólnocie” jawi się jako opłacalna. Chaos ma się bardzo dobrze i trzyma nas wszystkich za gardło!

W wolnym kraju...

FOZZ, Żemek, Okrągły Stół, ART-B, Bagsik, NFI, Bezpieczna Kasa Oszczędności, afera alkoholowa, afera paliwowa, Grobelny, Rywin, Pruszków, Wołomin, Czesław Kiszczak, Papała, Olewnik, Masa, Perszing, Soros, Sachs, Balcerowicz, afera hazardowa, Chlebowski, Baranina, Franiewski, Sekuła, Smoleńsk, Casa w Mirosławcu, Sienkiewicz, Belka, afera taśmowa, grupa trzymająca władzę, Wojciech Jaruzelski, Czarzasty, Jakubowska, afera PZU, Wieczerzak, Amber Gold, Orlengate, Wejchert, Kulczyk, Ałganow, willa Kwaśniewskich, majątek po PZPR, kasjer lewicy, akta Bolka, Peter Vogel vel Piotr Filipczyński, afera węglowa, śląska Alexis, Blida, Drzewiecki, moskiewska pożyczka, afera rublowa, afera zbożowa, Galicyjski Trust Kapitałowo-Inwestycyjny, Warszawska Grupa Inwestycyjna, Trójkąt Buchacza,

Emil Wąsacz, Kwiatkowski Krauzemu, Kaczmarek Lopperowi, afera gruntowa, Jaromir Netzel, afera mostowa, afera starachowicka, Sobotka, Długosz, ekstradycja Mazura, Laboratorium Frakcjonowania Osocza, Beata Sawicka, seksafera

w Samoobronie, Olin, Józef Oleksy, Glimar-Gorlice, Sopot Karnowskiego, Nowak, Parafianowicz, wakacje z agentem, afera 100 sekund na GPW, autostrady, bankructwa, Pendolino, Pierwszy Komercyjny Bank w Lublinie, David Bogatin, afera Skyline, Interbrok, Aleksander Gawronik, sieć kantorów, ITI, Polsat, Solorz, Walter, Piotr Osuch, Stadion Narodowy, Colloseum, samobójstwo Leppera, NIE, Urban, afera Banku Staropolskiego, Piotr Bykowski, „Gazeta Wyborcza”, afera marszałkowa, Bronisław Komorowski, WSI, szafa Lesiaka, informatyzacja ZUS, informatyzacja w cyfryzacji, zamówienia publiczne w Ministerstwie Sprawiedliwości, afera w Ministerstwie Finansów, Jacek Dębski, Halina G. „Inka”, Cimoszewicz, Miodowicz, komisje śledcze, Marek Dochnal, seryjny samobójca, oscylator, Telegraf, komisja Rokity, prywatyzacja, cukier, cement, stocznie, Janusz Lewandowski, Zakłady Papiernicze Kwidzyń, Jan Krzysztof Bielecki, projekt Chopin PKO S.A., Kuna i Żagiel, Eureko, Miliarder Pniewy, Polskie Huty Stali, olimpiada w Krakowie, dług publiczny, OFE, wiek emerytalny, Jerzy Miller, Naczelną Prokuraturą Wojskową, Krzysztof Parulski, Mieczysław Wachowski, Waldemar Pawlak, nocna zmiana, Grzegorz Schetyna, Ryszard Sobiesiak, Agora, Petelicki, Janicki, Możejki, gazoport Świnoujście, Animex, Turowski, Palikot, Paweł Piskorski, Orzeł Może, Sawicki, Śmietanko, Żelichowski, dopalacze, Jerzy Owsiak i WOŚP, Donald Tusk...

... i tylko 25 lat wolności... z nadzieją patrząc w przyszłość...

Demokracja strachu

Byla demokracja burżuazyjna, była demokracja ludowa... To ciekawe, ale dzisiaj, w III RP, panuje demokracja strachu! Już niebawem wybory samorządowe. W większości małych gmin wiejskich i miejsko-wiejskich jednak nic się nie zmieni. Stare układy, kliki i sitwy utrzymają swój stan posiadania. W radach gmin nie zajdą znaczące zmiany. I powodem takiego stanu rzeczy nie jest brak w ordynacji wyborczej ograniczenia sprawowania władzy przez wójtów, burmistrzów i radnych do – na przykład – dwóch kadencji. Nie ma wątpliwości, że to szatańskie przyzwolenie na przyspawanie się do gminnego stołka na długie lata pozwala wielu tzw. samorządowcom rządzić w swoich miejscowościach jeszcze od czasów komuny – znam takie przypadki. Wynik 3, 4, nawet 5 kadencji na stolcu wójta czy radnego nie jest w Polsce niczym nadzwyczajnym. Funkcja samorządowca stała się zawodem, a nie misją publiczną. I nasi „włodarze” dobrze dbają, żeby przypadkiem

nie wyrosło im pod bokiem społeczeństwo obywatelskie. Lokalne łże-media, które uprawiają tylko propagandę sukcesu dla miejscowego establishmentu, „samorządowcy” podlewiają publicznymi pieniędzmi, uzasadniając ich wydatkowanie promocją regionu. Miejscowy biznes tylko w takich mediach zamieszcza swoje reklamy, dając tym samym jasny sygnał władzy, że jest gotowy na każdy układ w systemie zamówień publicznych i nie tylko!

Sale tzw. Domów Ludowych świecą natomiast pustkami podczas rutynowych zebrań wiejskich. Kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt osób, zauszników miejscowego kacyka, wystarczy, żeby wcielić w życie zasady „demokracji bezpośredniej”. Rozproszone gdziekolwiek społeczeństwo obywatelskie musi trwać w letargu, żeby władzy żyło się dostatnio. I dlatego ta władza ma gęby pełne frazesów o ważkiej roli tego społeczeństwa. Ktoś mógłby powiedzieć, a co stoi na przeszkodzie, żeby do Domu Ludowego w Pcimiu Górnym albo innych Wilczyskach tłumnie stawili się mieszkańcy, czytaj obywatele i naprawdę zagłosowali nogami, i upomnieli się o swoje obywatelskie prawa. Tutaj pojawia się kolejny syndrom, który jak rak toczy naszą nieszczęśliwą ojczyznę. „Zawodowy samorządowiec” został uzbrojony nie tylko przez ustawy o samorządzie terytorialnym, w cały zestaw broni masowego rażenia i wachlarz represji wobec swojego sąsiada. Niepokornemu obywatelowi, przedsiębiorcy, można tak uprzykrzyć życie (administracyjne), sponstponować i sponiewierać w oczach opinii publicznej, że jakikolwiek protest niewart jest skórki za wy-

prawkę. Mieszkańców polski gminnej ogarnął zatem strach, wielki strach, a w ślad za nim przyszło zniechęcenie do jakiegokolwiek udziału w życiu publicznym, także wyborcze milczenie. I o to chodzi wójtom, burmistrzom i zblatowanym z nimi radnym i sołtysom. Dlatego trwają na swoich synekurach samorządowych po 12 i więcej lat. I będą trwać, a jak już się zmęczą i zapragną odejść na emeryturę, to zastąpią ich dzieci i wnuki. Samorząd dziedziczny. Nepotyzm to zresztą stan naturalny w Polsce gminnej w urzędach, w szkołach, w samorządowych centrach kultury. Każdy konkurs na każde stanowisko można ustawić. Najczęściej wygrywają kandydaci, a nie kompetencje i wykształcenie. A potężnym sojusznikiem tych kandydatów stało się społeczne zniechęcenie! Samorządowców należy właściwie nazywać samorządowładcami. Dorobili się fortun. Ich miesięczne apanaże wielokrotnie przewyższają średnie krajowe dochody, a na dodatek mają zwrot prawie wszystkich kosztów. Ja już nawet nie mówię o korupcji urzędniczej, o ustawionych przetargach, o łapówkach. „Przewal” publicznych pieniędzy odbywa się gdzie indziej na gigantyczną skalę. Wiem, co piszę, bo od 7 lat inwentaryzuję to „samorządowe” życie na portalu „Gorlice i Okolice” w powiecie gorlickim. Kto nie wierzy, może tam zajrzeć. Tutaj podam tylko jeden maleńki przykład. Burmistrz mojej gminy, trzy kadencje na stolcu włodarza gminy (czym się szczyci, bo przecież to jest argument dla ludu, że jest wybitnym burmistrzem), używa swojego prywatnego samochodu do wyjazdów służbowych, bodaj od 12 właśnie lat. Nie-

dawno wystąpiłem do niego z wnioskiem, w trybie dostępu do informacji publicznej, żeby ujawnił wszystkie koszty tych swoich peregrynacji (podobno, to jest czasami nawet 12 delegacji tygodniowo – tak mi napisał). I co? Oczywiście odmówił! A dlaczego? Musicie sami sobie odpowiedzieć na to pytanie. I zapewniam Was, że nigdy, przenigdy tego nie ujawni, bo „kosi” z tego tytułu drugą, a może nawet trzecią pensję (jakby zupełnie legalnie), a przecież jego roczne, oficjalne dochody na stanowisku burmistrza to ok. 160 tysięcy złotych. Taki „gość” myśli już inaczej, mieszka inaczej i wygląda inaczej. Przestał być jednym z nas. Mieszka obok, ale nie spotkacie go na wiejskim gościńcu, bo to miejsce dla plebsu. Ubranego w garnitur za kilka tysięcy złotych wójta/burmistrza zmuszeni jesteśmy oficjalnie tytułować panem wójtem czy burmistrzem. I cały ten sztafaż budzi oczywiście w ludziach respekt. Ponadto „pan wójt” w każdej chwili może podpisać decyzję administracyjną, która uderzy w naszą własność, na przykład wytyczy drogę gminną albo inny rów melioracyjny przez naszą działkę. Niemożliwe? Szukajcie dowodów na www.gorliceio-kolice.eu. Ma nad nami władzę, może nie absolutną, ale wystarczająco dużą, żeby demokracja strachu działała skutecznie. Wokół samorządowładcy tłoczy się zazwyczaj wianuszek interesownych wazeliniarzy, dzwonią telefony, a sekretarki o długich, odpowiednio wyeksponowanych kończynach i kształtnych biustach donoszą „kawę i słone paluszki”. Podwładni nie dyskutują z „szefem” i wykonają każde polecenie. Na usługach samorządowładcy pozostają „papugi”, tj. radcy

prawni, którzy, w fałszywie rozumianym interesie, skierują każdą sprawę przeciwko obywatelowi na drogę postępowania administracyjnego i przeciwko obywatelowi napiszą odwołanie do sądu. Gminny radca prawny pomaga władzy, a nie obywatelowi. W sporze władza-obywatel zawsze stoi po stronie władzy. Jeśli znacie jakikolwiek przykład, w którym wójt gminy poparł was w sporze, np. ze starostą, wojewodą albo z samym sobą, błagam przyslijcie mi na ten temat informację. I spróbujcie sobie przypomnieć, ile razy władza publiczna w waszej gminie przyznała się do błędu, a rada gminy uznała skargę na wójta? Jeżeli w ogóle były jakiegokolwiek skargi! Tutaj, w kraju nad Wisłą, samorząd zanim się urodził, to został poddany aborcji. Mówiąc brzydko został brutalnie wyskrobany, tzn. może nie sam samorząd, tylko jego idea. I w myśl proaborcyjnego „dealu”, od poziomu województwa, mafijną strukturą „samorządowej” władzy rządzą ogólnopolskie układy partyjne. Wielkie korporacje, takie jak PO, PiS, PSL czy SLD (i ich odłamy i akolity), finansowane z naszej kieszeni, wydzierają sobie sejmikowe sukno raz w tę, raz w tamtą stronę. Gdzie tam są samorządowcy z krwi i kości? Nikt ich tam nigdy nie widział. To zbiorowisko szumowin, legitymujących się taką czy inną legitymacją partyjną, popartą środkami z budżetu państwa. Jakie szanse w takim starciu ma Komitet Wyborczy Wyborców, na przykład Pawła Kukiza, biedny jak mysz kościelna? Zero! I to się nazywa samorząd, ktoś tu mówi o równości praw? Natomiast na dole oddano władzę miejscowym cwaniaczkom i oligarchom, a korzyści czerpią z tego także szeregowi funk-

cjonariusze partyjni, tzw. posłowie i senatorowie RP, którzy w sojuszu z wiejskimi i małomiasteczkowymi siłami trwają przy swoim korycie. I robią wszystko, żeby rozwijać demokrację strachu i dusić w zarodku każdy przejaw obywatelskiej niezależności, która zresztą, w naturalny sposób, powoli zamiera. Platformie czy PiS-owi nie opłaca się konkurować z lokalnym wójtem czy burmistrzem. Wystarczy się z nim dogadać. Głosy w wyborach parlamentarnych pewne, na każdej uroczystości gminnej (dożynki, przecięcie wstęgi tu i tam) obecność zapewniona i „wyżera” dla VIP-ów w miejscowej „Ostoi” albo w innym Domu Weselnym. Chandryczyć się o prawa człowieka z miejscową prokuraturą i sądem nie ma potrzeby, lokalna prasa „ślit focie” zrobi – żyć nie umierać. Wybory na wójtów, burmistrzów i do rad gminnych stały się farsą. Zmanipulowane, zatimizowane i przestraszone społeczeństwo, także ubóstwem ekonomicznym i przymusem emigracyjnym, uda się do urn wyborczych (frekwencja ok. 45%) i wybierze, z grubsza rzecz ujmując, tych samych ludzi, bo przecież demokracja strachu wyklucza jakiegokolwiek wybór. Wymiana skorumpowanych elit nie nastąpi i milcząca większość, kontestująca takie wybory, także podpisze się pod tym werdyktem; niechący. Ten system działa perfekcyjnie i dławi jakiegokolwiek ruchy obywatelskie. I ten system został domknięty. Oświadczam to z wielką przykrością!!! Niedobitkom, których zawsze kilku znajdzie się w każdym ustroju, pozostaje tromtadracja i walka z wiatrakami! Na solidarność sąsiadów jednak nie ma co liczyć, co

najwyżej na pobłażliwy uśmiech dezaprobaty, a czasem na zwykłe pukanie palcem w czoło. Tak to już jest, że taka tromtadracja ma przeciwko sobie wszystkich. I władzę, która oczywiście nigdy nie lubi ujawniać swoich bezceństw i poddanych, którzy, prawem mimikry, przystosowani do warunków bytowania, obawiają się każdego odszczepieńca. A zatem można liczyć tylko na cud, na grom z jasnego nieba, który, gdy uderzy, wypali całą gangrenę tego świata. Tylko, że ten grom, jak dotychczas, uderzył tylko raz i na razie nie zanoszą się na powtórkę!

Tekst powstał przed wyborami samorządowymi w 2014 roku i pozostaje jak najbardziej aktualny.

Jesteśmy bezradni i rozproszeni

Jeszcze kilka lat temu uważałem, że swobodny dostęp do internetu pomoże nam zbudować społeczeństwo obywatelskie i przełamać, a nawet obalić informacyjny monopol rządzącej w Polsce pookrągłostołowej władzy i jej medialnych akolitów. Dzisiaj uznaję takie myślenie nie tylko za marzenia bez pokrycia, ale wręcz za utopijne mrzonki. Nie pomógł udział w wirtualnej przestrzeni setek, a nawet tysięcy blogerów, publikujących na portalach społecznościowych swoje wolnościowe rozprawki i felietony. Nie pomogły fora internetowe, na których toczą się rozgrzane do czerwoności dyskusje o Polsce tu i teraz. Nie pomogły, chociaż nieliczne, ale jednak niezależne lokalne media rozsiane w sieci po całym kraju. Nie pomogło „Radio Maryja”. Nie pomogły także medialne inicjatywy, powiedzmy o nich, globalne, takie jak „salon24”, „wPolityce.pl”, „niezależna.pl”,

czy „3obieg”. Zostaliśmy zamknięci przez mainstream III RP w getcie. Zepchnięto nas do narożnika, w którym możemy się tylko miotać. I wolne społeczeństwo obywatelskie, które w 1980 roku przeciwstawiło się komunistycznej władzy, dzisiaj rozpierchło się gdzieś we mgle polskich dziejów.

Od szczegółu... Gorlice i okolice...

I wiem co mówię! Od siedmiu lat prowadzę jedyny naprawdę wolny i niezależny portal internetowy w powiecie gorlickim pt. „Gorlice i Okolice” (www.gorliceiokolice.eu). Jak to się mówi, patrzę władzy na ręce. Interweniuję w małych i większych ludzkich sprawach i zdarzyło mi się opisać duże gospodarcze afery z polską mafią paliwową w tle, jak w przypadku artykułu o grabieży w rafinerii Glimar w Gorlicach. Udokumentowałem setki faktów, z których większość, w tzw. normalnym kraju, spowodowałyby, niekiedy nie tylko natychmiastową dymisję odpowiedzialnego w sprawie funkcjonariusza publicznego, ale skuteczną interwencję wymiaru sprawiedliwości, tzn. nieuchronny wyrok niezawisłego sądu. Nic takiego jednak się nie wydarzyło, no, może poza paroma procesami o zniesławienie wytoczonymi mi przez owych funkcjonariuszy z wniosków w trybie wyborczym albo jako akty oskarżenia z art. 212 i 216 Kodeksu karnego.

Ktoś mi niedawno powiedział, że takie sądowe oskarżenia władzy to powód do dumy dla niezależnego dziennikarza. Ale chyba tylko kpił, bo o drogę na pewno ten ktoś nie pytał. Nie wiedział, co to znaczy uczestniczyć w takich procesach

jako oskarżony i tłumaczyć się z konstytucyjnego prawa do wolności wypowiedzianego słowa. Nie wiedział, że funkcjonariusz publiczny, przychodząc do sądu, nie ponosi żadnych materialnych strat. On po prostu jest w pracy, w dobrze opłacanej pracy, a oskarżany dziennikarz może tylko ponosić koszty. Nie wiedział także, co się w głowie kotłuje, gdy „rozgrzany” sędzia ogłasza wyrok ograniczenia wolności osobistej za niewinność. A ja już wiem, co wtedy, już nie dziennikarz, ale przede wszystkim obywatel czuje.

Efekty takiej dziennikarskiej misji bywają także czasami bardzo zaskakujące. Oto jeszcze jedna refleksja z frontu mojej prywatnej wojny o społeczeństwo obywatelskie na Ziemi Gorlickiej. Pewne rozterki i podejrzenia zaczęły mną targać już w 2010 roku przy okazji ówczesnych wyborów samorządowych. Dzisiaj po kolejnych czterech latach ujawniania korupcji, prywaty i łamania prawa w działaniach lokalnego samorządu zorientowałem się, że im częściej krytykuję i obciążam kompromitującymi faktami takiego czy innego funkcjonariusza publicznego, ten w kolejnych wyborach uzyskuje znaczny wzrost poparcia! To nie jest żart. Przeanalizowałem z tego punktu widzenia, wyniki wyborcze 12 najbardziej prominentnych działaczy gorlickiego życia politycznego i samorządowego. Wygląda zatem na to, że moja działalność jest, o zgrozo, przeciwnie skuteczna. Ot, polskie paradoksy!

... do ogółu. W Polsce

Po kilku latach tej działalności poznałem w sieci wielu podob-

nych do mnie straceńców. Piotrek walczy w Łodzi, Monika w Ustce, Jacek w Opolu, Jurek w Gliwicach, Alicja w Zielonej Górze... Blogują i starają się pomagać pokrzywdzonym, których zastępy produkują na potęgę urzędy i wymiar sprawiedliwości. I na moje oko spotykają się z coraz większą rezerwą otoczenia. Ich sąsiedzi bliżsi i dalsi ztratili gdzieś uczucia zwykłej ludzkiej solidarności. W najlepszym razie przyglądają się tej działalności z oddali, a najczęściej zamykają oczy i zatykają uszy, żeby nie widzieć i nie słyszeć. To dlatego w kolejnych wyborach wygrywają ciągle ci sami zawodowcy.

Walki o wolność i godność nie wygrywa się w pojedynkę. Nie te czasy. W społeczeństwie tak zmanipulowanym przez media i korporacje, wystawionym na totalitarny przymus ekonomiczny nawet I Kompania Kadrowa też nic by nie poradziła. Tutaj trzeba pospolitego ruszenia, wielkiej Polskiej Armii Republikańskiej. Tylko, że nie ma już tych szabel.

O polski paradoksie! Przecież pospolite ruszenie możemy odnaleźć. Tylko że jawi się jako formacja całkowicie bezużyteczna, zmarnowana; to wielomilionowa rzesza Polaków, zawsze ponad 50 procent uprawnionych do głosowania, którzy bojkotują wybory. Nie ma chyba takiej siły, która by dzisiaj na początku XXI wieku ruszyła tę bryłę z posad świata.

Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Władza nie za bardzo boi się naszych patriotycznych, niedofinansowanych stowarzyszeń i rachitycznych mediów, których jedyną siłą są, prężone na pokaz, mięśnie w takt okrzyków „a na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”. Wpadamy w zachwyty,

że możemy od czasu do czasu zmobilizować 100 tysięcy ludzi na manifestacji w obronie Telewizji Trwam czy na Marszu Niepodległości. To mało, żałośnie za mało w tak dużym i tak liczbnym kraju jak Polska. A władza, jak tylko zechce, lewą ręką fałszuje wybory i jesteśmy bezradni jak dzieci. Etos konspiracyj, który Polacy przekazywali sobie od wieków w sztafecie pokoleń, szczelnie ostatecznie w 1989 roku, bo wszyscy zachłystnęli się „wolnością” i „demokracją”. To był prawdziwy majstersztyk koleśi zza Okrągłego Stołu. Władza ukonstytuowała się w zasadzie bez przemocy w wyniku Wielkiego Oszustwa. A Wielki Oszust potrafi rządzić. I niestety, nie widać w oddali żadnego groźnego przeciwnika.

Kłeska polskiej samorządności

Jakoś niedawno, może rok, może dwa lata temu, w „Kropce nad i” u Moniki Olejnik profesor Jadwiga Staniszkis wypowiedziała szokującą opinię. Otóż stwierdziła, że z czterech reform rządu Jerzego Buzka udała się tylko reforma samorządowa. Oniemiałem (i trwam nadal w osłupieniu), bo już od lat żyję w absolutnie niezachwianym przeświadczeniu, że „reforma” samorządu terytorialnego z 1999 roku była gwoździem do trumny „polskiej drogi do demokracji”, przy założeniu, że przy Okrągłym Stole w ogóle zamierzano wytyczać taką drogę. Stawiam tezę całkowicie przeciwną. Po 25 latach od tzw. transformacji ustrojowej bez obawy można powiedzieć, że reforma samorządu terytorialnego okazała się totalną porażką i chyba tylko beneficjenci tego systemu, tzn. dziesiątki tysięcy samorządowców, tj. radnych, wójtów, burmistrzów, starostów, marszałków i obsługujących ich urzędników może chwalić utrwalony 1 stycznia 1999 roku system.

Grzech pierworodny polskiego samorządu terytorialnego

Na początek kilka informacji podstawowych. W Rzeczpospolitej Polskiej funkcjonuje trójstopniowa struktura samorządu terytorialnego składająca się z:

- samorządu gminnego,
- samorządu powiatowego,
- samorządu województwa.

Artykuł 163 Konstytucji RP stanowi, że: „Samorząd terytorialny wykonuje zadania publiczne nie zastrzeżone przez Konstytucję lub ustawy dla organów innych władz publicznych.”

Obecnie Polska dzieli się na 16 województw, 314 powiatów i 2 479 gmin (306 miejskich), w tym 66 miast na prawach powiatu – tj. mających status gminy miejskiej i równocześnie wykonujących zadania powiatu – tzw. „powiatów grodzkich”, 602 miejsko-wiejskie oraz 1 571 wiejskich. Każdy może sobie wyobrazić, ilu ludzi wybrano i zatrudniono do takiej rozbuchanej struktury. Dla ułatwienia tych obliczeń dodam, że liczba samych radnych wynosi w Polsce blisko 47 tysięcy osób.

Tyle suchych danych statystycznych.

Polskie prawo samorządowe w sposób nieomal doskonały zadekretowało w środowiskach lokalnych zwarte i niewielkie układy personalne o charakterze politycznym i gospodarczym, które żerują na interesach pozostałego ogółu obywateli. przy okazji twierdząc wszem i wobec, że działają dla dobra publicznego. To taki marketingowy trik.

Grzechem pierworodnym polskiego samorządu terytorialnego stało się całkowicie pragmatyczne i głęboko przemyślane przyzwolenie na „przemianę”, z chwilą wyboru kandydata, z samorządowca na urzędnika. Bo samorząd terytorialny wykonuje w Polsce zadania publiczne. Cóż to oznacza w praktyce? A więc wybierając na wójta czy burmistrza przedstawiciela naszej wspólnoty, namaszczamy go na administracyjnego zarządcę naszej gminy czy miasta i dajemy mu do ręki olbrzymią władzę. I płacimy mu krocie za wykonywanie *stricte* urzędniczych działań. W nawet najmniejszych gminach roczne dochody wójta wynoszą wszędzie grubo ponad 150 tysięcy złotych. Żeby utrzymać takiego funkcjonariusza publicznego przez czteroletnią kadencję obywatele muszą wysupłać najskromniej ok. 1 milion złotych. Nie mówię tutaj o utrzymaniu Hanny Gronkiewicz-Waltz na stolcu prezydenta Warszawy, ale o jakimkolwiek wójcie z Pcimia Górnego lub Dolnego. Nie trzeba tęgiej głowy, żeby sobie uświadomić, że koszty utrzymania i funkcjonowania samorządu w III RP idą w miliardy złotych.

No i po wyborze taki kandydat od razu przechodzi na drugą stronę barykady, sadowiąc się w opozycji do obywatela. No dobrze, ale powiecie, że wybrani radni powinni takiego urzędnika ograniczać i dyscyplinować. Jednak szef urzędu z bardzo silnym mandatem z wyborów bezpośrednich ma cały czas inicjatywę administracyjną i radnym najczęściej wypada się jej poddać. Taka praktyka. Ma to swój głęboki sens, bo do rad gminnych czy miejskich trafiają najczęściej ludzie meryto-

rycznie nieprzygotowani do zarządzania takimi organizmami, jak gminy czy miasta. Bo w wyborach może kandydować każdy. A po wyborze na radnego najczęściej poddaje się on manipulacji albo płynie z prądem – nie wiadomo co gorsze. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego radni nie stawali w obronie swoich sąsiadów w ich sporach z urzędem. Odpowiedź jest banalnie prosta. Oni nie są już samorządowcami, ale członkami korporacji urzędniczej, kierowanej przez „włodarza” gminy, czyli wójta i obowiązuje ich korporacyjna solidarność. To „włodarz” gminy rozdaje karty, chociaż z mocy prawa miał pełnić tylko funkcję wykonawczą.

Może wystarczyło zbudować w Polsce system szkolnictwa kształcącego apolityczne kadry administracji publicznej, przygotowane do zarządzania infrastrukturą, gospodarką komunalną, budownictwem etc., a następnie wynajmować je w systemie menedżerskim jako nieprzypadkowych, wykwalifikowanych pracowników. Bo zarządzanie w gminach np. drogami nie powinno mieć nic wspólnego z polityką. Samorząd terytorialny, odchudzony o 100 procent – o czym za chwilę, w tym systemie pełniłby rolę swoiście rozumianej komisji nadzorczo-rewizyjnej, w istocie reprezentując tylko swoich wyborców. I taki samorząd musiałby działać społecznie – to bardzo ważne. Zwiastuny takiego systemu mamy w miastach, gdzie powstały tzw. wspólnoty mieszkaniowe. Wspólnota wynajmuje i opłaca menedżera (od remontów, ogrzewania, instalacji), a przewodniczący wspólnoty działa społecznie. Najważniejsze sprawy ustalają wszyscy członkowie wspólno-

ty na walnym zebraniu. Z tego, co wiem, taki system gdzieniegdzie działa dość przyzwoicie. Korzyści płynące z wprowadzenia tak rozumianej samorządności byłyby wielorakie. Po pierwsze oszczędności, bo aparat administracyjny w naturalny sposób byłby mniej liczebny. Po drugie merytoryczne, bo nie każdy wójt czy radny mają dostateczne wykształcenie w zarządzaniu. Po trzecie, antykorupcyjne, bo interesy gminnych menedżerów podlegałyby kontroli społecznie pracującego wójta i radnego, którzy autentycznie reprezentowałiby interes wspólnoty. Po czwarte społeczne pełnienie funkcji przez wójta i radnego także i w nich ostudziłoby ewentualne korupcyjne ciągoty. Natomiast członkowie wspólnoty byłiby równi wybranym przez siebie samorządowcom, a nie „podwładnymi” urzędników.

Koniecznym należałoby także wprowadzić kadencyjność w wyborach. To podstawa demokracji.

Taki samorząd należałoby drastycznie odchudzić. Bo to, co się wydarzyło w Polsce w kwestii liczebności samorządu terytorialnego, woła wprost o pomstę do nieba. „Etat” samorządowca stał się pożądaną synekurą, co samo w sobie jest zjawiskiem skrajnie korupcyjnym, tym bardziej nagannym, bo zadekretowanym przez prawo.

Likwidacja samorządu powiatowego, który w dzisiejszej strukturze dubluje liczne zadania zarówno samorządu wojewódzkiego, jak i gminnego, należałoby przedłożyć jako jeden z najważniejszych postulatów przyszłej reformy. Ta struktura pogłębia opisane wyżej patologie i generuje swobodny wzrost

długu publicznego. Doskonale zostało to opisane przez profesora Witolda Kieżuna w jego słynnej „Patologii transformacji”.

Na poziomie województwa samorządowa władza „spotyka się” oko w oko z administracją rządową. To jakieś kompletne kuriozum. Wojewoda nadzoruje marszałka i odwrotnie, a każdy z nich dysponuje aparatem urzędniczym rozbuchanym do nieprawdopodobnych rozmiarów. Ten dwugłowy smok zieleje ogniem dzięki finansom „betonowych” partii politycznych i podtrzymuje ekonomiczny status środowisk zblatowanych z obozem rządzącym. To tutaj wykuwa się twardy elektorat PO i PSL-u, który raz zdobytej władzy nie zamierza nigdy oddać. Nikt nie zwraca uwagi, że koszty takiego systemu skutecznie dławią polskie życie ekonomiczne.

Ten pokrótce opisany „samorządowy” system wyklucza skutecznie budowę społeczeństwa obywatelskiego. Wystarczy zwrócić uwagę na frekwencję na zebraniach wiejskich. Samorządowcy w uniformach urzędników zbudowali swoje wpływy na strachu. Odmienne zdanie powoduje tylko gwałtowną retorsję radnego czy burmistrza, bo obywatel musi mieć świadomość, że rozmawia z władzą, a nie ze swoim przedstawicielem i sąsiadem zza miedzy. Skrzywdzony obywatel nie idzie zatem do swojego przedstawiciela w radzie, bo z góry wiadomo, że ten nie podejmie się jego obrony wobec urzędnika. Skrzywdzony obywatel musi położyć uszy po sobie, bo wybrany przez niego „samorządowiec” to reprezentant dobrze opłacanej władzy, i roszczenie obywatela może zachwiać jego pozycją ekonomiczną. To dlatego

99 procent skarg obywateli samorząd w Polsce odrzuca jako oczywiście nieuzasadnione.

Regionalna Izba Obrachunkowa wkracza do akcji...

Zaraz, zaraz! – wykrzykną klakierzy profesorów Kuleszy i Regulskiego, twórców przemian samorządowych w III RP. Przecież zbudowaliśmy instytucje nadzoru, które uważnie patrzą na ręce jednostkom samorządu terytorialnego (JST). W każdym województwie działa autonomiczna Regionalna Izba Obrachunkowa, która przynajmniej raz w czteroletniej kadencji wysyła swoich urzędników i wykonuje tzw. kontrolę kompleksową. Żaden urząd gminny, miejski, starostwo czy marszałek wojewódzki nie uciekną od tej krytycznej weryfikacji. I powstają sążniste protokoły pokontrolne. Są jawne! A jakże. Każdy może sobie przeczytać na stronach biuletynów informacji publicznej, jakie nieprawidłowości były lub są udziałem jego jednostki samorządu terytorialnego. Prawo łamane jest wszędzie na ogromną skalę. Kontrolerzy RIO skrupulatnie wymieniają naruszone artykuły ustaw o finansach publicznych, o zamówieniach publicznych, o pomocy społecznej etc. i jednoznacznie stwierdzają, kto ponosi za to odpowiedzialność. Mogłoby się wydawać, że trup będzie słał się gęsto i po postawieniu konkretnych zarzutów wyciągnięte zostaną personalne konsekwencje. Nic bardziej mylnego. Wszystko „załatwia” tzw. protokół zaleceń pokontrolnych. Wójt czy burmistrz, składając podpis pod tymi dokumentami,

oświadcza, że przyjmuje do wiadomości stwierdzone „nieprawidłowości” i przedstawione „zalecenia”... i życie toczy się dalej. W tych sprawach faktycznie nikt nie ponosi odpowiedzialności. Systemowo zamiatamy naruszenia prawa pod dywan. RIO jest zadowolone, a wójt (urzędnik) śpi spokojnie i dalej grzeszy. Wszyscy wiemy, jak trudno w Polsce odwołać wójta w referendum. Kilka udanych przykładów z ostatnich lat to tylko wyjątki potwierdzające regułę.

...a czasami prokurator!

Jeśli jednak, nie daj Bóg, zostaniecie skrzywdzeni w polskim urzędzie przez funkcjonariusza publicznego poprzez wydaną przez niego decyzję administracyjną lub jakiś niecny akt prawa miejscowego, porzućcie nadzieje, że w waszej obronie stanie niezawisły i sprawiedliwy prokurator z miejscowej prokuratury. Na straży nietykalności polskiego funkcjonariusza publicznego stoi bowiem art. 231§1 Kodeksu karnego. Ktoś niezorientowany w realiach ustanowionego w Polsce prawa, po zapoznaniu się z treścią owego artykułu (*Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3*) zachnie się na moje słowa i zdumiony zaprotestuje. Jakże to, przecież ten zapis jest jasny, klarowny i obligatoryjny. I nie ma w nim miejsca na jakiegokolwiek interpretacje. Zdefiniowano pojęcie „funkcjonariusza publicznego”, dokładnie opisano, co to jest „interes publiczny” albo „prywatny”. Bez większych

problemów można stwierdzić, zwłaszcza na podstawie dokumentów urzędowych, kiedy przekroczone tzw. uprawnienia lub nie dopełniono obowiązków służbowych. Niestety, to są tylko efektowne pozory. Bo w polskim Kodeksie karnym słowo bardzo często nie odnosi się do swojego desygnatu, a to oznacza, że powszechne niekiedy poczucie uniwersalnej sprawiedliwości społecznej ze „sprawiedliwością” stanowioną przez prokuratorów i sędziów nie ma najczęściej nic wspólnego. I żeby nie być gołosłownym, przytoczę fragment autentycznego Postanowienia o odmowie wszczęcia śledztwa, które zostało zatwierdzone 31 grudnia 2012 r. przez prokuratora Prokuratury Rejonowej w Gorlicach Arletę Osikowicz:

Biorąc pod uwagę całość zgromadzonych materiałów w postępowaniu należy stwierdzić, że przestępstwo stypizowane w art. 231 §1 Kk jest przestępstwem, którego można dopuścić się wyłącznie z winy umyślnej. Brak tego elementu po stronie podmiotowej zachowania sprawcy dyskwalifikuje odpowiedzialność karną. Zaznaczyć należy, że dla bytu przestępstwa z art. 231§1 Kk konieczne jest wykazanie, że sprawca będący funkcjonariuszem publicznym działając umyślnie, przekroczył swoje uprawnienia, a zatem dokonał czynności, która w ogóle nie należała do zakresu jego działania lub czynności, która mieściła się co prawda w zakresie jego działania ale do jej spełnienia nie było w określonej sytuacji podstaw faktycznych ani prawnych, albo też nie dopełnił obowiązków, czyli nie wykonał w ogóle bądź wykonał nienależycie czynności nakazane przepisami wynikające z istoty pełnionej funk-

cji, działając w ten sposób na szkodę interesu publicznego lub prywatnego. W omawianej sprawie nie sposób dopatrywać się w zachowaniu Burmistrza Bobowej oraz pracowników Urzędu Miejskiego w Bobowej umyślnego przekroczenia uprawnień oraz umyślnych zaniechań.

Jak zatem widać, podstawą wykładni prawnej art. 231§1 Kodeksu karnego jest tzw. wina umyślna, a jej brak dyskwalifikuje odpowiedzialność karną. Kierując się elementarną logiką można bez wysiłku wyobrazić sobie przestępstwo, którego sprawcy nie można ścigać, bo nijak nie udowodnimy mu winy umyślniej. Ten nieszczęsny art. 231§1 Kodeksu karnego został zatem tak skrojony, żeby żadnemu funkcjonariuszowi publicznemu włos z głowy nie spadł. Udowodnienie winy umyślniej, że działał on złośliwie na szkodę interesu publicznego lub prywatnego bywa praktycznie niemożliwe. Nawet zamontowanie podsłuchów i kamer w każdym urzędowym gabinecie nie przyniosłoby oczekiwanych efektów. Każdy przecież może się pomylić, a co dopiero burmistrz, starosta czy wojewoda. Ile decyzji administracyjnych wydano w III RP z rażącym naruszeniem prawa, w których obronie *de facto* stanęli prokuratorzy i sędziowie, nikt nie policzył i nikt liczyć nie będzie. W sprawie art. 231§1 Kodeksu karnego działa bezduszna machina „wymiaru sprawiedliwości”, tzn. w pamięci komputerów kolegów i koleżanek Arlety Osikowicz z Gorlic, jak Polska prokuratorska długa i szeroka, zapisano: *Biorąc pod uwagę całość zgromadzonych materiałów w postępowaniu należy stwierdzić, że przestępstwo stypizowane w art. 231 §1 Kk jest przestępstwem, którego*

można dopuścić się wyłącznie z winy umyślniej... W omawianej sprawie nie sposób dopatrywać się w zachowaniu (...) pracowników Urzędu (...) umyślnego przekroczenia uprawnień oraz umyślnych zaniechań I tak dalej i temu podobne! To są gotowce, prokuratorzy nie muszą się przemęczać. Pojawia się kwalifikacja prawna, czyli art. 231 §1 Kk, no to my o przestępstwie stypizowanym z winy umyślniej. Następny proszę!

No nie, powie znawca polskiego kodeksu karnego, ale przecież obok art. 231 §1 Kk mamy art. 231§3 Kk (*Jeżeli sprawca czynu określonego w §1 działa nieumyślnie i wyrządza istotną szkodę podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2*). I wiecie, co wtedy postanawia prokurator? Pozwólcie, że zacytuję ponownie Arletę Osikowicz z Prokuratury Rejonowej w Gorlicach z tego samego Postanowienia: *W przedmiotowym przypadku istotnej szkody nie stwierdzono.*

Czyli, jak nie kijem go, to pałką. Dla prokurator Arlety Osikowicz nawet kilkuset tysięcy straty materialne w innej znanej mi sprawie nie stanowiło argumentu tzw. „istotnej szkody”. Bo cóż to znaczy „istotna szkoda” – interpretacja może być tylko arbitralna i zazwyczaj będzie wypowiedziana na szkodę obywatela. Jesteś zatem bez szans, Czytelniku, zwłaszcza, gdy występujesz przeciwko funkcjonariuszowi publicznemu.

Samorządowe rozbicie dzielnicowe

Jeśli polityczna scena sejmowa w Polsce została dość skutecznie zabetonowana przez dotacje budżetowe dla zwycięskich

partii politycznych, to do wzmocnienia konstrukcji polskiego samorządu terytorialnego użyto dodatkowo grubego i ożebrowanego drutu zbrojeniowego. Już chyba nawet specjalistyczny i o wielkiej sile młot pneumatyczny nie da rady skruszyć tej budowli.

Samorządowe układy, głównie gminne i powiatowe, ale także i wojewódzkie, zdają się być nie do ruszenia. Od lat polskimi wsiami i miasteczkami rządzą te same sitwy i kliki. I jeśli dochodzi do zmian na stanowiskach wójtów, burmistrzów czy radnych, za każdym razem należy je uznać za wyłącznie kosmetyczne roszady. W niektórych częściach kraju utworzono już nawet małe monarchie o dziedzicznym charakterze. Synowie i córki ostrzą już sobie zęby na stanowiska dzisiaj jeszcze zajmowane przez ich matki i ojców. Jeśli komuś się jeszcze wydaje, że polski samorząd terytorialny kieruje się republikańskimi ideami dobra wspólnego, to popełnia fundamentalny błąd. Zresztą ojcom założycielom III RP w ogóle o to nie chodziło! W Polsce mamy raczej do czynienia z ustrojem małych „samorządowych” księstw dzielnicowych. To, między innymi, bezpośrednie wybory wójtów i burmistrzów bez ograniczenia kadencyjności spowodowały utworzenie takiego ustroju. I to dlatego syn czy córka przez wiele lat sprawującego swój urząd wójta może liczyć na sukcesję po ojcu. W gminie i w powiecie stoją za tak pojmowaną władzą potężne lokalne siły: miejscowi gospodarczy oligarchowie, którzy swój majątek pomnażają we współpracy z miejscowym „samorządowym” władcą (księciem) i lokalne media, które swoją

finansową i propagandową siłę zbudowały na oportunizmie i serwilizmie wobec władzy, gotowej z pieniędzy publicznych, na właściwych łamach, budować swój wizerunek męża opatrnościowego i dobroczyńcy na terenie „naszej małej ojczyzny”. Do układu dołączają bardzo często miejscowi księża, którzy z legitymizowania systemu czerpią także wszelakie, oczywiście i finansowe korzyści, prowadząc swoją posługę duszpasterską „ponad wszelkimi podziałami”. Co oznacza najczęściej poparcie dla władzy! Taki ustrój się sprawdził i działa bardzo dobrze, dlatego nikt nie rozpacza, że na zebrania wiejskie (uługa demokracji) przychodzi garstka mieszkańców „księstwa”, najczęściej spokrewniona lub zblatowana z miejscową władzą. Propagandę sukcesu dla pozostałej części (biernej, ale i wystraszonej) społeczności podlewa się piwem na coraz częściej organizowanych, kiczowatych, diskopolowych festynach ludowych, które z polską tradycją ludową nie mają już nic wspólnego. Samorządowi książęta dzielnicowi znakomicie żyją z każdą władzą centralną, z tą od SLD, PO czy od PiS. Samorządowi książęta na festyny zapraszają posłów wszystkich partii i jednakowo dokarmiają ich podczas pofestynowych biesiad, organizowanych oczywiście za publiczne pieniądze. Wódka nie zna podziałów politycznych w myśl słynnej sentencji „zdrowie wasze w gardło nasze”. Samorządowi książęta w noc przedwyborczą śpią spokojnie. Wybory nie przyniosą niespodzianek; kostka bauma przez wioskę i brak alternatywy, bo konkurencja polityczna została już dawno bezwzględnie wycięta w pień, zrobią swoje. W tej czy innej „naszej małej ojczyźnie” wygry-

wa Komitet Wyborczy Wyborców „Przyszłość” albo jakoś tak. I wszyscy już od dawna wiedzą w okolicy, że ręka podniesiona na ten komitet, zostanie przez ten komitet, wcześniej czy później, po prostu odrąbana. Samorządowi księżęta to nie są jakieś mięczaki i gdy mają władzę, nie wahają się jej użyć.

Samorządowy kasjer

Samorzady w III RP zajmują się rozdawnictwem pieniędzy, wielkich pieniędzy. Brylują w tym oczywiście urzędy marszałkowskie w imieniu sejmików wojewódzkich, ale niższe szczeble samorządu terytorialnego także mają w tej kwestii wiele na sumieniu. Wiadomo skądinąd, że samorząd nie może prowadzić działalności gospodarczej i żeby sprawnie i ku uciesze samorządowych akolitów skorzystać z wielkiej, także unijnej, kasy, zostały powołane, jak Polska długa i szeroka, wszelkiej maści i różnorodnej merytorycznej proveniencji „samorządowe” stowarzyszenia i fundacje. Urzędy miast i gmin w wielu regionach kraju skrzyknęły się także w związki miast i gmin, wysyłając oczywiście do społeczności lokalnych przekaz propagandowy, że to dla dobra obywateli, dla dobra wspólnego. Wystarczy tylko pobieżnie prześledzić oficjalne protokoły pokontrolne Regionalnych Izb Obrachunkowych, żeby zorientować się w skali powszechnego łamania wszelakiego prawa przez te instytucje.

Wszystkie te „samorządowe” inicjatywy i działania stanowią skuteczny instrument sprawowania władzy. Animatorami lokalnych lub nielokalnych (o zasięgu ponadregional-

nym) stowarzyszeń lub fundacji są bardzo często urzędujący lub ustępujący ze stanowisk działacze samorządowi, politycy różnego szczebla lub pracownicy administracji rządowej. Rozbuchana do granic wytrzymałości struktura biurokracyjna rad gminnych, miejskich, sejmików wojewódzkich etc., to mimo wszystko zbiór ograniczony. A miłośników kasy samorządowej i dostępu do tych konfitur jest przecież znacznie więcej.

Kolejne przegrane wybory

Jeszcze nie przekroczyliśmy progu żadnej obwodowej komisji wyborczej, jeszcze nie wrzuciliśmy do urny ani jednej karty do głosowania, a można powiedzieć, że kolejne wybory przegraliśmy z kretesem. Bo właściwie wszystko jedno, jakie zostaną ogłoszone wyniki nadchodzących wyborów samorządowych Anno Domini 2014; czy wygra Platforma Obywatelska, a może tu i ówdzie PiS wprowadzi do sejmików większą liczbę kandydatów albo KNP Janusza Korwin-Mikkego sprawi gdzieś w Polsce niespodziankę i dopchnie kilku swoich „pryncypialnych” członków do samorządowego żłobu. Na poziomie gmin zmiany personalne będą jak zawsze stosunkowo najmniejsze. Tutaj, na stanowiskach wójtów i burmistrzów nadal będą rządzić starzy, wielokadencyjni „samorządowi” wyjadacze z własnych KWW-ów (Komitetów Wyborczych Wyborców), a nauczyciele obsiądą rady gmin, miast i zarządy powiatów niczym muchy krowie łajno, bo struktury samorządu terytorialnego

w Polsce „B” zdominowane są od lat przez członków Związku Nauczycielstwa Polskiego. Tutaj nic się nie zmieni! Bo nie o drobne rozszady personalne w tej całej „samorządowej” grze chodzi. Te rozszady są tylko solą tego sytemu!

Ta gra to zwykła uluda demokracji. Zorganizowano ją na podstawie z premedytacją ustalonych szkodliwych i kryminogennych reguł. Karty są znaczone od samego początku. Samorządowcy *de facto* nikogo nie reprezentują, tylko samych siebie. Na ich usługach działa rozbuchany do granic absurdu aparat administracyjny urzędów gmin, miast, magistratów, starostw i marszałków, uważnie pilnujący konfitur i spiżarni. Konkursy, przetargi, umowy, zlecenia, wreszcie środki unijne przejmują skorumpowane polityczne i biznesowe grupy interesu, a lokalne media pilnują, nie za darmo, tego *status quo* pod płaszczykiem promocji regionu. Wymiana wójta Iksa na Igreka czy radnego Zeta na Bzdeta niczego nie zmienia. Cały system nadaje się do kosza, a jego twórca prof. Jerzy Regulski powinien zostać skazany na wieczną infamię. Za rozszucie na terenie całej Polski pajęczyny klik, za stopniowe dobijanie obywatelskiej odpowiedzialności za dobro wspólne, za postawienie samorządu ponad prawem, za zaszczepienie mieszkańcom strachu przed władzą, za zadekretowanie oportunistycznego jako naczelnej postawy życia społecznego, za wszechobecną głupotę, którą nazywa się mądrością i stawia się jej pomniki, za chodniki i place z kostki bauma, za dziesiątki rankingów na najwybitniejszego wójta w Polsce, za miliardowe długi miast i gmin, za złodziejskie, niemoralnie wysokie apanaże samo-

rzędowców, za wszechobecne kłamstwo i pozorny dostęp do informacji publicznej, za dewastację szkolnictwa.... Za... za... za... i mogę tak wymieniać jeszcze dobę albo dwie!

Nie ma innej możliwości. Zgnijemy w tym systemie, bo jego beneficjentami jest zbyt wielu z nas i mało kogo obchodzi przyszłość. Ważne stało się tylko tu i teraz, czyli tzw. ciepła woda w kranie, która może być oczywiście także zimna. Naród znalazł się w kompletnej rozsypce, a społeczeństwo poddano skutecznie zabiegowi totalnej dezintegracji. W tej sytuacji nie ma szans na żaden skuteczny protest!

Dzień za dniem, rok po roku, od wyborów do wyborów zbliżamy się do nieuniknionej katastrofy. Jak będzie wyglądało to tąpnięcie, nie wiem. Wiem natomiast, że rozwój gangreny przyspieszył. A najbliższe wybory rozognią jeszcze ognisko choroby.

P.S. Już po napisaniu tego felietonu przeczytałem artykuł Piotra Zaremby pt. „Wybory nie do zlekceważenia” („wSieci”, nr 46 (102) 2014, s. 22), a w nim zdanie: „Wybierając samorządowców, nie wybieramy biznesmenów mających zawierać transakcje. Wynajmujemy ludzi do obrony publicznego interesu”. Panie Piotrze, pudło, jakież dramatyczne pudło. Jest dokładnie odwrotnie. „Wybieramy” właśnie „biznesmenów”, którzy sami siebie wynajmują do ochrony własnego, prywatnego interesu. Wygląda na to, że przyszło mi żyć w innym kraju niż Piotr Zaremba! Także dlatego obaj te wybory przegramy, tylko, że pan Piotr może tego jeszcze nie wiedzieć! Bo buja w obłokach „obrony publicznego interesu”.

Czy naprawdę decyduje data stempla pocztowego?

Złożyłem dwa protesty wyborcze. Trochę się nabiedziłem, bo, niestety, jestem tylko zwykłym absolwentem polonistyki, a nie prawa, ale ostatecznie 29 listopada 2014 roku wkroczyłem do Urzędu Pocztowego, dzierżąc w dłoni opasłą kopertę zaadresowaną do Sądu Okręgowego w Nowym Sączu. To był 13 dzień czternastodniowego terminu, który ustawodawca, w wielkiej łaskawości, przewidział dla takich „pieniaczy” jak ja, którzy uznali, że ostatnie wybory samorządowe, mówiąc delikatnie, zostały przeprowadzone z naruszeniem prawa. Opanował mnie słodki błogostan. Składałem protest w terminie. Teraz niech się martwi – pomyślałem – niezawisły wymiar sprawiedliwości. Mam 55 lat i przeżyłem niejedno w PRL-u, a III RP dołożyła swoje do mojego życiowego kotła. Nigdy nie sprawdzałem, co na temat terminów mówi kodeks cywilny. A mówi tak:

Art. 165. § 1. Terminy oblicza się według przepisów prawa cywilnego. § 2. (175) Oddanie pisma procesowego w polskiej placówce pocztowej operatora wyznaczonego w rozumieniu ustawy z dnia 23 listopada 2012 r. – Prawo pocztowe jest równoznaczne z wniesieniem go do sądu. § 3. To samo dotyczy złożenia pisma przez żołnierza w dowództwie jednostki wojskowej albo przez osobę pozbawioną wolności w administracji zakładu karnego oraz przez członka załogi polskiego statku morskiego u kapitana statku.

I bez patrzenia do kodeksu miałem to zakodowane pod korą mózgową. Czy wysyłałem pisma do ZUS-u czy do Urzędu Skarbowego, czy pisma procesowe do sądów, nigdy, prze-nigdy nie miałem żadnych wątpliwości, że tzw. data stempla pocztowego przybitego w chwili nadania przeze mnie przesyłki poleconej, decydowała o dotrzymaniu przeze mnie urzędowego/sądowego terminu lub nie.

O ja głupi i nieszczęsny!

Wczoraj otrzymałem postanowienie Sądu Okręgowego w Nowym Sączu, który na podstawie art. 9 §1 i 392 §1 Kodeksu wyborczego postanowił moje protesty wyborcze pozostawić bez dalszego biegu! A więc koniec protestowania!

Dlaczego? Ponieważ mój list polecony dotarł do Sądu Okręgowego w Nowym Sączu 2 grudnia 2014 roku, a więc dzień po czternastodniowym terminie. Zawyłem z wściekłości. Jak to, a data stempla pocztowego? Przecież, na Chrystusa Króla, nadałem list w terminie!

Zadzwońnię do przyjaciela prawnika. I oczom, i uszom nie mogłem uwierzyć i trwam w tym stanie do tej chwili. Oto wykładnia prawa:

Art. 9. [Upływ terminu] § 1. Ilekroć w kodeksie jest mowa o upływie terminu do wniesienia skargi, odwołania lub innego dokumentu do sądu, organu wyborczego, urzędu gminy, konsula albo kapitana statku, należy przez to rozumieć dzień złożenia skargi, odwołania lub innego dokumentu w sądzie, organowi wyborczemu, w urzędzie gminy, w konsulacie lub kapitanowi statku.

2. Jeżeli koniec terminu wykonania czynności określonej w kodeksie przypada na sobotę albo na dzień ustawowo wolny od pracy, termin upływa pierwszego roboczego dnia po tym dniu.

3. Jeżeli kodeks nie stanowi inaczej, czynności wyborcze określone kalendarzem wyborczym oraz czynności, o których mowa w § 1, są dokonywane w godzinach urzędowania sądów, organów wyborczych, urzędów gmin oraz konsulatów.

Komentowany przepis

Zasadą – od której szczegółowe przepisy KW mogą wprowadzić wyjątki – jest, że określone w KW skargi, odwołania lub inne dokumenty skutecznie mogą być wniesione tylko pod warunkiem, że w terminie dotrą do sądu, organu wyborczego, urzędu gminy, konsula albo kapitana statku. Nie przewidziano więc, że równoważne z tym jest ich nadanie w placówce pocztowej

(nie decyduje data stempla pocztowego). Jak stwierdził SN: “zgodnie z art. 9 § 1 Kodeksu wyborczego dla zachowania terminu konieczne jest złożenie wniosku u jego adresata, a nie wysłanie pocztą” (uchw. z 14.12.2011 r., III SW 173-174/11, P. Wyb. 2011, Nr 12).

No i wszystko jasne! We wszystkich innych przypadkach urzędowych i sądowych, z którymi mamy do czynienia w naszym nieszczęśliwym kraju, decyduje data stempla pocztowego, a w tej jednej jedynej, tj. protestu wyborczego, nie. I w ten oto sposób ostatecznie i nieodwołalnie przegrałem ostatnie wybory! A wy razem ze mną! Burmistrz Bobowej może spać spokojnie i komisarz wyborczy w Nowym Sączu, i przewodnicząca Miejskiej Komisji Wyborczej w Bobowej. Właściwie wszyscy mogą spać spokojnie!

Polskie szkoły w likwidacji

Oto garść statystyki, dotyczącej polskiego szkolnictwa; liczby uczniów, szkół etc. Wiele polskich szkół postawiono w stan likwidacji z przeróżnych powodów. W wielu gminach powstają stowarzyszenia, które przejmują opiekę nad taką czy inną placówką w nadziei, że uda się ją uratować. Nie ukrywam, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem pozbywania się przez gminy (czytaj państwo) szkół na rzecz takich stowarzyszeń. Jestem o tym głęboko przekonany, że to jest sztuka na raz. Drody Rodzice i Nauczyciele, odezwijcie się i opowiedzcie o wadach i zaletach takiego rozwiązania; z punktu widzenia dzieci i młodzieży, z punktu widzenia nauczycieli i rodziców, z punktu widzenia Karty Nauczyciela. Taka informacja może pomóc innym, którzy być może staną wkrótce przed podobnymi problemami. Nie możecie milczeć! Napiszcie!

Poniżej kompendium statystycznej wiedzy na temat stanu liczbowego polskiego systemu oświaty. Proszę zwrócić

uwagę, że najwięcej szkół w roku szkolnym 2012/2013 zlikwidowano w województwie małopolskim!

Z najnowszych danych Systemu Informacji Oświatowej wynika, że liczba uczniów przystępujących do nauki we wrześniu 2012 r. we wszystkich typach szkół wyniosła 4,669 mln. Jest to o 140,8 tys. uczniów mniej niż rok temu.

Tendencja spadkowa dotyczy wszystkich typów placówek, ale w największym stopniu gimnazjów, w których znalazło się o 49,1 tys. uczniów mniej niż w roku szkolnym 2011/2012.

Do szkół podstawowych poszło o 27,9 tys. uczniów mniej niż w poprzednim roku. W liceach ogólnokształcących znalazło się o 27,8 tys. uczniów mniej, w zasadniczych szkołach zawodowych mniej o 14,1 tys., w liceach profilowanych – o 11,8 tys. W technikumach jest to już mniej o 8,9 tys., w technikumach uzupełniających – o 2,5 tys. a w liceach uzupełniających – o 1,3 tys.

Tak poważny spadek liczby uczniów wynika przede wszystkim z sytuacji demograficznej Polski – zmniejszającej się stale liczby dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. Od roku szkolnego 2005/2006 do roku 2011/2012 liczba uczniów w systemie oświaty spadła o 1,118 mln, natomiast w szkołach dla dzieci i młodzieży (bez policealnych) w tym okresie liczba uczniów zmalała o 1,113 mln.

To najpoważniejszy powód zmniejszania się liczby szkół. Pod koniec lutego 2012 r. plany jednostek samorządu terytorialnego dotyczyły likwidacji 727 szkół dla dzieci i mło-

dzieży. Tymczasem z danych SIO z 30 września 2012 r. wynika, że liczba szkół wszystkich typów zmniejszyła się o 349 placówek.

Są wśród nich szkoły przekształcane lub wygaszane zgodnie z wprowadzanymi zmianami w systemie szkolnictwa zawodowego, jak wygaszane licea profilowane oraz technika i licea uzupełniające – w sumie 163, w tym 74 licea profilowane, 58 technikumów, 20 technikumów uzupełniających i 11 liceów uzupełniających.

Jak podkreśla Ministerstwo Edukacji Narodowej, część szkół będzie nadal istniała, ponieważ w miejsce szkół publicznych, prowadzonych przez samorządy, powstaną szkoły publiczne i niepubliczne prowadzone przez inne organy, np. stowarzyszenia. Uczniowie nadal będą uczyli się w tych samych budynkach, z tymi samymi nauczycielami, zmieni się tylko organ prowadzący szkołę.

Różnica w liczbie szkół dla dzieci i młodzieży w roku szkolnym 2011/2012 i w roku szkolnym 2012/2013 w województwach wygląda następująco: dolnośląskie (-21), kujawsko-pomorskie (-1), lubelskie (-41), lubuskie (-9), łódzkie (-34), małopolskie (-36), mazowieckie (-28), opolskie (-15), podkarpackie (-33), podlaskie (-8), pomorskie (-11), śląskie (-26), świętokrzyskie (-8), warmińsko-mazurskie (-16), wielkopolskie (-35), zachodniopomorskie (-29). Razem w całej Polsce (-349).

We wszystkich szkołach i placówkach systemu oświaty, 30 września 2012 r., było zatrudnionych 661,6 tys. nauczycie-

li. W stosunku do 30 września 2011 roku liczba zmniejszyła się o 7 tys. (z 668,6 tys. zatrudnionych we wrześniu 2011 r.). W tej grupie ponad 2 tys. osób przeszło na pełne emerytury, część osób odeszła z zawodu lub czasowo z miejsca pracy, a część zdecydowała się na zamianę stosunku pracy z mianowania na niepełny wymiar zatrudnienia.

W ostatnim roku szkolnym spadła również liczba nauczycieli na urlopie dla poratowania zdrowia w szkołach i placówkach prowadzonych przez samorządy – z 14,7 tys. osób we wrześniu 2011 r. do 12,5 tys. osób we wrześniu 2012 r.

Spadek procentowy liczby uczniów jest większy niż nauczycieli. Przykładowo liczba uczniów szkół podstawowych spadła o 20,7 punktów procentowych, zaś liczba nauczycieli o 9,1 pp. W podobnej proporcji zmniejsza się liczba szkół – o 8,3 pp.

Zarówno w miastach, jak i na wsiach szkoły są coraz mniejsze, a w skali kraju spada liczba uczniów przypadających na jedną szkołę. Ta tendencja jest szczególnie widoczna w gimnazjach. Przeciętne gimnazjum na wsi ma obecnie 5,8 oddziału, a w mieście 9,5 oddziału.

Wesele

W sobotę, w przedostatni dzień sierpnia, weseliłem się na weselu mojej bratanicy. Było rodzinnie i wzruszająco. Po latach piętnastu, dwudziestu spotkałem przy biesiadnym stole wielu dawnych znajomych i przyjaciół. I chociaż tę wiedzę znam z plotek i wieści towarzyskich od dawna, tutaj, przy lampce wina i stakaniku okowity, zderzyłem się z tą rzeczywistością oko w oko. Syn Ewy i Janka w Brukseli, dzieci Hani i Marka w Szwecji, dzieci Andrzeja w Kanadzie, dzieci Majki w Norwegii, dzieci Włodka za kołem polarnym, a Eli czy Jacka w Anglii, w Ameryce, w Australii. Do Polski zaglądały rzadko albo wcale, najczęściej mają już swoje rodziny, na świat przychodzi kolejne wielkie pokolenie ochrzczone często obco brzmiącymi imionami, a także, to też już nie może dziwić, o innym kolorze skóry. Hania powiedziała, że do wnuka mówi po polsku. Tylko tyle i aż tyle!!!

Co się stało z naszą klasą? – pytał kiedyś Jacek Karczmarski, ale przecież tutaj już nie o naszą klasę chodzi, któ-

ra rozpierchła się po świecie, ale o ich dzieci i wnuki, które w większości rozmywają się w innych krajach; trzeba powiedzieć, rozmieniają, bo muszą, swoją polskość za mężów i żony z obcych nacji, za wcale niedrobne apanaże, za prestiżowe i zwykłe posady, za dostatniejsze i lepiej uporządkowane życie z tzw. perspektywami, nie to, co w Polsce. Bez urazy, to nie jest zarzut, tylko smutne stwierdzenie faktu.

II wojna światowa zabrała nam setki, tysiące, co ja mówię, miliony nienarodzonych. Pokolenie Kolumbów ginęło wszak bezpotomnie. Bez wysiłku mogę sobie wyobrazić, że mój stryj, który zginął w wieku 26 lat za Wolną i Niepodległą, na stacji kolejowej w Ryczowie, nieopodal Oświęcimia, w 1944 roku, mógł całą naszą rodzinę wzmocnić siłami kolejnych kuzynów, sióstr, braci stryjecznych i ich dzieci. Mogło być nas nawet o kilkanaście istnień więcej! Oni byliby wczoraj na weselu. A tu nic, pustka, cisza, tych pokoleń po prostu nie było; nie przyszli, duchom nikt nie wysłał zaproszeń.

I tak sobie wczoraj rozmyślałem na tym polskim weselu Anno Domini 2014. I zaczęło mi się wydawać, że tym razem tego upływu polskiej krwi, tej wielkiej nieobecności nie udźwignęliśmy już jako Naród. Zabrakło nam tutaj i teraz nad Wisłą, choćby w 1989 roku, tych wszystkich nienarodzonych po wojnie, brakuje naszej klasy Jacka Karczmarskiego i już wiadomo, że nie możemy liczyć na Wilhelma, Lucasa, Emmę, Ingrid... I co więcej, nie możemy mieć o to do nich żalu! Tylko, że Polska marnieje w oczach!

Dzień psa

No właśnie, dzisiaj dzień największego przyjaciela człowieka. Nie bardzo wiadomo dlaczego wśród tylu zwierząt na tym łożu padole to pies potraktował ród ludzki jako coś specjalnego. Wierność psa jest dla nas, ludzi, jak wyrzut sumienia – jeśli ktoś to oczywiście rozumie. Zdradzą i okradną cię wszyscy, a ten czworonóg zawsze będzie stał przy tobie, do końca swoich dni – a krótko przecież żyją. Podaś mu rękę, a on da ci łapę i zamerda ogonem. Na policjanta zaszczeka, bo wie, że wróg, a na dodatek w mundurze, do przyjaciela domu będzie się łąsić, a jak cię długo nie będzie – boś był w podróży, to na powitanie rzuci się na ciebie w geście radości i tęsknoty. I nie będzie chciał dać ci spokoju. Gdy wracasz do domu tylko z zakupów, nie było cię ledwie 5 minut, i drzwi od samochodu otworzysz, żeby wysiąść, to on z zabłoconymi łapami właduje ci się na kolana. I jęzorem zaznaczy swoją miłość na twojej twarzy.

To psy powinny zbudować cywilizację na tej ziemi. Psy i papież Franciszek. Mielibyśmy wtedy tutaj raj. Tylko, że psy tylko szczekają. Ludzie właściwie też szczekają, ale używają do tego szczekania alfabetu i właśnie dlatego nie potrafią się porozumieć.

Pamiętacie „101 Dalmatyńczyków”? Czy szczekaniem można uratować świat i sto pierwszego dalmatyńczyka? Okazało się, że można, bo szczekali Pongo i Pułkownik! I alfabet nie był im potrzebny...

A pamiętacie Dżoka? To legenda Krakowa. Opowiada o psie – czarnym mieszańcu, którego właściciel w tragicznych okolicznościach zmarł na atak serca w pobliżu Ronda Grunwaldzkiego. Pies czekał tam na swojego pana. Dokarmiany przez mieszkańców Krakowa, budził zdziwienie i sympatię. Po około roku oczekiwania pozwolił się przygarnąć nowej właścicielce. Kobieta zmarła jednak w 1998 roku, zaś zwierzę uciekło i wałęsając się po terenach kolejowych zginęło pod kołami jadącego pociągu.

Moglibyście Dżokowi wszyscy łapy czyścić!!!

Czy mam coś jeszcze więcej napisać?

Na czwarty dzień czerwca. Czas bezsilności

Czas honoru minął w Polsce bezpowrotnie. Nastął czas bezsilności. I wskazówki tego zegara odmierzają godzinę po godzinie, rok po roku, kolejne etapy utraty wolności Narodu i suwerenności Państwa. Uroczysty, państwowy pogrzeb zorganizowany zdrajcy na warszawskich wojskowych Powązkach dowiódł, że jako społeczeństwo zmierzamy na zatracenie. Bo każdą plwocinę obelgi, którą władza charknie nam w twarz, co najwyżej bezgłośnie wytrzymamy rękawem z oblicza, czekając na kolejny bluzg.

W kronikach z Powstania Warszawskiego kamera Armii Krajowej podgląda powstańczą rusznikarnię. Chłopcy i dziewczęta, mężczyźni i kobiety uwijają się jak w ukropie. Z „taśmy montażowej” schodzą kolejne karabiny maszynowe „Błyskawica”, a drewniane skrzynie zapelniają się granatami.

Miarą naszego narodowego upadku jest droga, którą przeszliśmy od „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego do

„Wesela” Wojciecha Smarzowskiego. To tylko niewiele ponad sto lat, ale tempo w biegu do samozagłady rekordowe. I czas naznaczony opresją władzy, kolaboracją szerokich mas społecznych, urzędowym i medialnym kłamstwem. Dlatego dzisiaj nic już nie potrafimy obronić: ani wolnych wyborów, ani wolnych mediów, ani wolności w gospodarce. A na dodatek wymieramy jako Naród!

A kto niby miałby stanąć w obronie wartości, gdy większość idzie na pogrzeb zdrajcy albo oddaje głos na kolaborantów i na pożytecznych idiotów. Zresztą inni właściwie nie startują w wyborach. Bo syta kolaboracja zawsze należy do większości! Oto prawdziwa demokracja ludowa...

A obok bulgoczą niewielkie enklawy opozycji, ale nie mają żadnej mocy. Właściwie nie bardzo wiadomo, dlaczego. Jeszcze 70 lat temu uruchomiliśmy rusznikarnię, a 30 lat temu powielacz; dzisiaj musi nam wystarczyć pikietą albo co najwyżej tort rzucony w sędziego. Tylko, że to jest żałośnie za mało. I władza kpi sobie z takiego oporu. I bluzga nam, ile jej dusza zapragnie.

Niedługo czwarty dzień czerwca zostanie ogłoszony świętem narodowym. Będziemy rok po roku wybierać „ludzi wolności”. Na pięćdziesiąte urodziny Okrągłego Stołu, w głosowaniu esemesowym, na tym narodowym piedestale, zostanie postawiony towarzysz generał, a wdzięczny lud zażąda jego pomnika na Trakcie Królewskim, który nazwany będzie Traktem Komorowskiego. A czyjaś ręka napisze na cokole: Generałowi – Rodacy. Przecież już dawno wprowa-

dzenie stanu wojennego usprawiedliwiono. Już tylko krok, żeby górników z Wujka nazwać terrorystami. Ten trop ocen historycznych wskazał Zygmunt Bauman w odniesieniu do Żołnierzy Wyklętych. Taka jest logika dziejów i nie ma już takiej siły, która odwróciłaby te wektory. Bo jak powiedział Michał Bułhakow: Wszystko będzie, jak być powinno, tak już jest urządzony świat. I tyle na czwarty dzień czerwca 1989..., o przepraszam 2014 roku!

Już nie ma prawie nic!

Nie ma pokolenia Kolumbów i ich dzieci, bo nie miały szans się narodzić. Nie ma pokolenia września 1939 roku, nie ma potomków Katynia, nie ma Fieldorfa, nie ma Nila, nie ma Rotmistrza, nie ma więźniów Rawicza, Mokotowa, Fordonu, nie ma Wyklętych.

Nie ma prawie nic!

Jest jakaś bezkształtna magma, która nic nie rozumie z tego, co się wokół dzieje, bo sobie grilluje. I jest kuźniar, i olejnik, i ich towarzysze. Jest palikot i kwaśniewski z millem, jest donek tusk, co wyparł się dziadka z wehrmachtu, jest jan krzysztof „wszechmocny” bielecki, są „masa”, „perszing”, „rzeźnik” i „baranina”. Jest fozz i rywin.

A w Smoleńsku mgła! Taki właśnie mamy klimat.

Nie ma „Solidarności”, Grzesia Przemyka i Staszka Pyjasa, nie ma Górników z „Wujka” i z „Piasta”, nie ma Ryszarda Siwca, płonącego pochodnią protestu na stadionie X-lecia.

Nie ma robotników z Radomia i Ursusa, którym warto było stanąć na torach naprzeciw nadjeżdżającym pociągom. Nie ma księdza Popieluszki, nie ma księdza Zycha. Są piotrowski, chmielewski, pękala i pietruska...

I jaruzelski trwa na Ikara, a kiszczak na Oszczepników. Nie ma Alei Zasłużonych na cmentarzu, bo pochowano tam bieruta i gomułkę. Nie ma Powstańców Warszawskich, Styczniowych i Listopadowych, bo zastąpili ich samorządowcy od hanny gronkiewicz-waltz z warszawy i waclawa ligęzy gdzieś z bobowej.

Nie ma Św. Jana Pawła II, bo Ojciec odwołał Go do Domu Ojca. Nie ma Karola Wojtyły, nie ma tamtych kremówek w Wadowicach.

Nie ma mleka prosto od krowy, masła z maselnicy i białego sera na Maślanym Rynku w Nowym Sączu!

Nie ma prawie nic!

Nie ma Braci Kowalczyków, ale są „z żelaza” bracia Janoszowie i mirosław milewski.

Nie ma Anny Walentynowicz, ale wszędzie panoszą się boleki i maleszka. Nie ma Michała Falzmanna i Remigiusza Musia, bo karty rozdaje seryjny samobójca.

Już nie ma prawie nic. Czy z tego „prawie nic” można się jeszcze jakoś odbić?

Pan Leszek

Szczegółową i druzgocącą analizę tzw. reformy Sorosa, Sachsa i Balcerowicza zawarł w swojej książce pt. „Patologia transformacji” profesor Witold Kieżun. Kto jeszcze nie przeczytał tej publikacji, powinien bezzwłocznie nadrobić braki. Ciekawe, czy tzw. profesor, pan Leszek Balcerowicz zapoznał się z opracowaniem Kieżuna. Może tak, a może nie! Mam wrażenie, że nigdy nie odniósł się jednak publicznie do tego tekstu. Ale może nieuważnie śledzę czas teraźniejszy.

Pan Balcerowicz udziela wywiadów na prawo i lewo. Stał się ikoną III RP, celebrytą ekonomii, stoi na cokołach wielu medialnych pomników i nie ma takiej siły, która mogłaby go stamtąd przegonić. Liczy nawet głośno dług publiczny, że aż nam się w oczach mieni. Przemawia do nas maluczki *ex cathedra*, a my winniśmy bić mu pokłony za szczęśliwość ekonomiczną, którą nas otoczył w kraju nad Wisłą. Tacy goście jak Kieżun to prawdopodobnie dla pana Leszka albo

kompletni idioci i dyletanci, albo zazdrośni o sławę mistrza nieudacznicy. Jednych i drugich trzeba zbyć milczeniem, tzn. wyrwać ze świadomości społecznej jak chwasty i odrzucić w niebyt.

Pan Leszek Balcerowicz tak nam obrósł w piórka, że pycha rzuciła mu się ostatnio jednak na zmysły. Otóż w „okolicznościowym” wywiadzie, zob. <http://biznes.pl/wiadomosci/wideo/balcerowicz-nie-moglem-tego-powiedziec-aby-nie-wyw,5604889,wideo-detal.html>, ze swadą opowiadał o swojej reformie i jej sukcesach. W pewnej chwili, uchylając tzw. rąbka tajemnicy, pewnie dla historyków, oświadczył, że ostatnie peerelowskie rządy ukradły polskim obywatelom wszystkie oszczędności dewizowe, tzn. ogołociły dolarowe, markowe, funtowe, frankowe etc. konta Polaków. I że on Leszek Balcerowicz, jak się o tym dowiedział, to z uwagi na dobro rodaków, co by nie wpadli w panikę i jakowejś krzywdy sobie nie zrobili, postanowił nic im o tym nie powiedzieć. I za ten współludział w złodziejstwie też, ma się rozumieć, mamy być wdzięczni panu Leszkowi.

Kłamczuszek ten pan Leszek! Już wtedy sobie wymyślił, że jest zbawcą narodu, a jak zbawcą, tzn., że jest najmądrzejszy i może sam, samiuśki, samiuteńki decydować, co temu narodowi powiedzieć, a co przed nim ukryć. Ot, demokracja! I tylko, i wyłącznie dla dobra tego narodu. Nie chce pisać „motłochu”, bo pan Leszek na pewno tak o nas nie myśli. A fe, co za pomówienie! On tak z dobrego i szczerzego serca brnął w te kłamstewka. Żeby odpędzić od nas samobójcze myśli!

Ale furda oszczędności dewizowe Polaków... przecież miał pan Leszek fundamentalne reformy na głowie. Taki popiwek na przykład albo przyznanie koleśiom koncesji bankowych, albo prywatyzację, czyli bankructwa i likwidację przedsiębiorstw, albo bezrobocie, które hodował z uporem godnym lepszej sprawy... No i dławienie inflacji, której jakoś nie mógł zdławić! Ten... monetarysta!

Oświadczenie po latach pana Leszka, że komuniści okradli Polaków z dolców i dojczmarek wygląda dzisiaj na nic nie znaczącą, zabawną dość dykteryjkę ekonomicznego satrapy. Dowodzi jednak, że ten aparatczyk z Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR od początku dobrze rozumiał złodziejski plan, do którego wykonania został wyznaczony, a może także przez lata przygotowywany przez „łożę Sorosa-Kiszczaka”. Dzisiaj przyznaje się do tego z uśmiechem na twarzy. I puszczając oko, daje do zrozumienia, że kłamał w dzień i kłamał w noc.

Państwo policyjne

Niepostrzeżenie obudziliśmy się w państwie policyjnym. Nie sposób już inaczej traktować III RP. Podśluchy, nielegalny monitoring, bezkarność i brutalność funkcjonariuszy różnorodnych służb, którzy nagminnie działają ponad prawem, nieznana, ale, jak można się domyślać, bardzo rozległa sieć konfidentów i informatorów policyjnych, wszystko to sprawia, że o wolności i demokracji w życiu publicznym możemy dzisiaj już tylko pomarzyć albo przeczytać w książkach nieoprawnych filozofów marzycieli.

Krok po kroku postępuje inwigilacja obywateli. Do trzymania nas za twarz służy już w Polsce dziewięć uprawnionych służb (Policja, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencja Wywiadu, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Żandarmeria Wojskowa, Wywiad Skarbowy, Służba Wywiadu Wojskowego, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Straż Graniczna). To właśnie funkcjonariusze tych instytucji mogą nas

podśluchiwać, w wielu przypadkach nawet bez zgody sądu. Oczywiście podsłuch może także zarządzić sędzia na wniosek prokuratora w ramach toczącego się już postępowania – wtedy mamy do czynienia z tzw. podsłuchem procesowym.

Na każdym rogu ulicy, na budynkach użyteczności publicznej, w sklepach, w miastach, na wsi kto żyw, rząd i samorząd, instaluje nielegalnie tzw. monitoring. Powiedzmy od razu, że nielegalnie, bo do dnia dzisiejszego nie ma ustawy regulującej zakładanie kamer rejestrujących wokół siebie wszystkie wydarzenia przez 24 godziny na dobę. Każdy może sobie taką kamerę kupić i obserwować sąsiada pracującego w ogródku albo jego żonę opalającą się w stroju topless.

Ustawa o ochronie danych osobowych stała się karykaturą samej siebie, jeśli kilka razy dziennie dzwoni mój telefon i obcy ludzie, reklamujący różne usługi, znają mnie z imienia i nazwiska, bo z imienia i z nazwiska zapraszają mnie na promocję garnków albo leczniczych kałesonów.

Funkcjonariusze Policji Państwowej (i nie tylko) mogą do nas przyjść o każdej porze dnia i nocy i bez nakazu prokuratora przeprowadzić rewizję w mieszkaniu. Prokurator takie czynności zatwierdzi po ich wykonaniu. Funkcjonariusze mogą także bezkarnie ubliżać zatrzymanym, stosować terror psychiczny i przymus fizyczny. Skarga na takie traktowanie nie ma szans powodzenia, bo wystarczy zwykłe zaprzeczenie funkcjonariusza i nie pada na niego cień podejrzenia, a oskarżenie trafia do kosza. Wyrok skazujący na tajniaka, który skopał uczestnika Marszu Niepodległości jest tylko wy-

jątkiem potwierdzającym regułę. To przypadek, że całe zajście zostało sfilmowane. Na komendach i posterunkach policji nikt nie rejestruje zatrzymań i przesłuchań, a tam dzieją się czasami dantejskie sceny. Jeśli znajdą naprawdę winnego albo słabego, zawsze można się wywinąć podjęciem współpracy z organami.

Szczucin nad Wisłą w Małopolsce, ciepłe popołudnie 11 marca 2014 roku. Policja zatrzymuje wszystkie samochody w obu kierunkach ruchu na drodze wojewódzkiej nr 73 z Tarnowa do Kielc. Obława. Korek sięga kilkudziesięciu aut, a następnych przybywa. Dwóch policjantów dokonuje kontroli trzeźwości wszystkich zatrzymanych kierowców. Nie trzeba wysiadać z samochodu, wystarczy uchylić okno i chuchnąć na podstawiony do twarzy alkomat. Wszyscy karnie wykonują polecenie funkcjonariuszy policji. Niektórzy, tak jak ja, dostępują zaszczytu kontroli dokumentów drogowych. Przekazują policjantowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny. – Panie Macieju – zwraca się do mnie familiarnie policyjny aspirant – imię ojca? – Panie władzo, mój ojciec nie żyje już blisko 50 lat, po co panu jego imię? – Bo w prawie jazdy nie zostało to zapisane, a tak w ogóle to kontrola drogowa, panie kierowco – aspirant przestaje być uprzejmy.

W tym szaleństwie jest oczywiście metoda i ja, wychowany w realnym socjalizmie, wiem dokładnie o co chodzi. Takie pytanie to jak groźba rewizji osobistej i represji. Mam nad tobą przewagę, milcz i odpowiadaj. Niepełnoletni zatrzymani na ulicy są rutynowo rewidowani bardzo często bez żadnego

powodu. Pytanie o imię ojca to dziecinna igraszka czy wręcz „sympatyczna” wymiana zdań. Ale aspirantów tak wyszkolono w policyjnych szkołach. Rowu, który został wykopany pomiędzy funkcjonariuszami a społeczeństwem nie można zakopać. Ruki pa szwam i milczeć.

Przejeżdżałem po drogach zachodniej Europy wiele tysięcy kilometrów. Z ręką na sercu muszę powiedzieć, że nigdy nie miałem okazji dmuchać w balonik i nigdy nie zostałem zatrzymany do tzw. kontroli drogowej. W Polsce mam te atrakcje nieomal codziennie, a poza tym radary, „suszarki” i fotoradary co pięć kilometrów. A i tak co roku gnie na polskich drogach blisko pięć tysięcy osób. Alkomatowa obława, którą opisałem powyżej spowodowałaby chyba dymisję ministra spraw wewnętrznych kraju, którego stróżę porządku zdecydowałiby się na taką akcję, jak w Szczucinie.

Jednak państwa policyjne buduje się nie po to, żeby walczyć z przestępczością czy żeby uratować kilka istnień ludzkich na drogach. Przestępcy przydają się przecież służbom jako konfidenci. Państwa policyjne mają szerzyć respekt i strach przed władzą, państwa policyjne wymuszają w życiu publicznym zachowania oportunistyczne i uczą obywateli serwilizmu do rządzących. Podpowiadają, jak głosować w wyborach i jak korumpować urzędników, polityków i oczywiście samych siebie. Państwa policyjne zabijają nadzieję. Państwa policyjne to szkoła społecznej apatii i rezygnacji.

Matnia

Polska od 1939 roku stacza się w przepaść. Powoli, ale jednostajnie ginie Państwo i ginie Naród. Casus Ukrainy stanowi, paradoksalnie, w tej dramatycznej sytuacji tylko kolejny dowód na nieuchronność tego procesu. Od dawna nie mamy już sojuszników, a trzeba powiedzieć więcej, otoczeni jesteśmy wyłącznie wrogami. Różnorodnym zaborcom militarnym, politycznym, ideologicznym czy ekonomicznym udało się na przestrzeni ostatnich 75 lat tak skutecznie przeorać polskie społeczeństwo, że tkwi ono pomiędzy Bugiem i Odrą jako polskie właściwie tylko z nazwy i z racji języka, którego zresztą coraz nieudolniej używa i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że już przestaliśmy się prawidłowo porozumiewać. Wystarczy poczytać tzw. „dyskusje” na wszystkich polskich forach internetowych. Wróg czał się zawsze u bram, ale wroga wewnętrznego udawało się zlokalizować, a czasem nawet eksterminować, jak w II Rzeczypospolitej. Dzisiaj wróg

wewnętrzny lokalizuje i eksterminuje, także fizycznie, bo Polska się wyludnia, nieliczne już enklawy polskiego oporu.

Dzisiaj środowiska skupione wokół partii rządzącej, zdeprawowane przez system polityczny, zatamowane przez propagandę mass-mediów spod znaku TVN-u uzyskały przytłaczającą przewagę i z zimną krwią, szantażowane, ogłupione i przekupione, także unijnymi błyskotkami, spychają Polskę w niebyt historii. Wspierają ich miliony ubogich, wypchniętych właściwie poza nawias życia publicznego, którym wstawiono do domów telewizory, żeby sobie zabili jakoś czas programami Polsatu, zanim stawią się przed św. Piotrem. Już wszystko nad Wisłą trwa w stanie klinicznej zapaści. Każdy dzień przynosi nowe analizy takiego stanu rzeczy. Tylko, że z tego nic nie wynika. Nic!!! I to stanowi źródło największego nieszczęścia tego Kraju. Echem roznosi się po całej Rzeczypospolitej okrzyk: przecież trzeba jakoś żyć i przetrwać, a z tego prosty wniosek, że trzeba się jakoś sprzedać, jak pierwsza lepsza k... pod latarnią. Oto obraz prawdziwego Polaka tu i teraz. Daliśmy się zagnać w kozi róg i czekamy na kolejne ciosy. A spadają i będą spadać często i gęsto. Jako Naród i jako Państwo przeżywamy największą spektakularną klęskę w naszych dziejach. Klęskę, z której nie uda nam się podnieść. Jesteśmy tak samo straceni jak Ukraina. I wcale nie trzeba wprowadzać na nasze terytorium bohaterskich oddziałów samoobrony Krymu. Sprawę załatwi rodzima agentura, która przestała być właściwie agenturą, bo ma dru-

zgocąca liczebną przewagę w społeczeństwie, które wyzbyło się w międzyczasie postaw prospołecznych afirmowanych i manifestowanych kiedyś w interesie dobra publicznego. Matnia zawładnęła sercami i umysłami mieszkańców tego Kraju. Chwyliła za gardło i już nie puści...

Jarosław Kuźniar na Placu Czerwonym (na nutę „Mistrza i Małgorzaty”)

W pokoju panował półmrok. Woland zbliżył się do swojego tronu, poprawił poduszkę na siedzisku i usiadł, wyciągając lśniące kopyta na niewielkim podnóżku. Zawsze, gdy tak się rozsiadał, pachniało awanturą. Korowiow skulił się w sobie i wbił wzrok w podłogę. Także Behemot zważał piśmo nosem i czmychnął pod szafę, łypiąc z ciemności swoim jednym okiem czekał na rozwój wydarzeń.

– Kto spuścił z łańcucha tego Makowskiego? – zagaił łagodnie Woland.

– To ja, szefie – drżącym głosem odpowiedział Korowiow.

– A kto przeciął przewody hamulcowe Wosztylowi?

– Też ja – a mówiąc to z Korowiowa jakby uszło powietrze i zrobił się dwa razy mniejszy niż normalnie. Behemot przestał łypać krwawym ślepiem i tyle go było widać pod

szafą. Na chwilę zapadła cisza, która nie zwiastowała nic dobrego.

Woland zaczął wygrzebywać pazurami zaschniętą sadzę z chrap i stuknął kopytem o kopyto, aż snop iskier posypał się na posadzkę.

– Korowiow, zaczynasz mi się szarogęsić – wycodził ze złością Woland. – Tego pilota Musia powiesiłeś bez rozkazu i co nam z tego przyszło? Trafił prosto do tego Starego Nudziarza, bo ci się nie chciało podetknąć mu pod nos cyrografu przed śmiercią.

– Szefie miałem cyrograf, wypieszczony, czyściutki, ale on się zaparł na amen, *nomen omen*, i nie mogłem z niego wydusić zgody na współpracę... ale koniec końców... młodziec był z niego, młodziec...

– Mięczak jesteś Korowiow i na dodatek głupek. Odeśle cię niedługo do wszystkich diabłów. Smołę ci mieszać w kadzi, a nie politykę uprawiać w Polsce. To nie wiesz, że u Lachów ciągle kropielnice pełne wody święconej?

– Wiem, szefie...

– Gównu wiesz, Korowiow i wtrącasz się w nie swoje sprawy. Teraz Wosztyla będą chronić jak żrenicy oka, a Makowskiemu koledzy ze służby jeszcze facjatę naruszają, bo zrobił z siebie idiotę w tefalenie. Amatorszczyzna, Korowiow, amatorszczyzna. Jak posłałem Behemota do Smoleńska, to wrócił uśmiechnięty od ucha do ucha, a łapy swobodnyje i towarzysze zadowoleni. I do końca świata nikt się nie dowie, co było grane. Nawet Lucyfer zadzwonił z gratulacjami i ruską

Belugę postawił, jeszcze z zapasów Brezniewa...

Słyszając te słowa Behemot dumnie wyczołgał się spod szafy i puścił oko do Korowiowa.

– Won, śmierdziu! – Woland tupnął kopytem i Behemot dał znowu susa pod szafę.

– Myślałem, Korowiow, że słuchałeś uważnie wykładów Goldberga i nie spałeś na zajęciach praktycznych. Ten to był prawdziwy czort. I oddany sprawie. Ty możesz, Korowiow, tylko pomarzyć o jego skuteczności. Jak wyrywał paznokcie na Mokotowie, to od razu wszystkie i z korzeniami. I nie dał sobie pluć w twarz. A Lachom wmówił, że się Różański nazywa. Ha, ha, ha... Korowiow uważaj, bo do piekła wrócisz i tyle cię na Kremlu zobaczą. Fraki, przyjęcia, burdele, o wszystkim przyjdzie zapomnieć na wieki. Widły i do gnoju, Korowiow, razem z całą Armią Czerwoną... Syf i mogiła, Korowiow, do końca świata!

– Szefie, ale ten Makowski wyglądał na rozgarniętego. Nakradł w Afganistanie i w ciula zrobił resortowych. Ruscy go chwalili...

– Ale ty nie Ruskich masz słuchać, Korowiow, tylko mnie. Z Ruskimi to ja ustalam, a nie ty. Ten Makowski jest głupszy niż ustawa przewiduje, jeszcze nam biedy napyta. Od dzisiaj Behemot nie będzie cię opuszczał nawet na krok, żebyś znowu jakiegoś głupstwa nie palnął. Wosztyla zostawić mi na razie w spokoju. Teraz trzeba postraszyć trochę archeologów, bo chyba nic nie zrozumieli z wypadku Dulnicza i kłapią jęzorami na prawo i lewo. Zrozumiano, Korowiow?

– Szefie, zrozumiano, ale oszczędź mi towarzystwa Behemota, bo cuchnie padliną na odległość.

– Ty wszarzu zajebany, jak śmiesz – wycharczał Behemot i skoczył z pazurami na kark Korowiowa – teraz będziesz tańczył pod moje dyktando, fireyku z piekła rodem – Chodź, opowiem ci, jak to było z Duliniczem... Może się wreszcie czegoś nauczysz, gnoju.

W pokoju zahuczało, zagrzmiało i zrobiło się zupełnie pusto. Ktoś tylko nie wyłączył telewizora. Jarosław Kuźniar nadawał kolejną relację na żywo z Placu Czerwonego. Nieopodal na murku siedział jakiś bezpański, czarny kot. Operator TVN-u chciał go wcześniej przepędzić, bo mu do kadru nie pasował, ale uparciuch ciągle wracał na stare miejsce. I patrzył prosto w obiektyw kamery. Taki mały, czarny, moskiewski przybłęda, ale słodki. I nawet dał się po nagraniu pogłaskać, chociaż tylko Kuźniarowi.

Patek caliber 89 **(na nutę „Mistrza i Małgorzaty”)**

Korowiow stał przed lustrem i mizdrzył się sam do siebie. Nowy, szyty na miarę w Moskwie surdut pasował jak ulał.

– O, widzę, że zadowolony, jakby mu kto w kieszeń narobił – miauknął Behemot i obrócił się na drugi bok, niedogrzany jeszcze porannym słońcem.

– A pewnie, że zadowolony. Takiego burdelu jak na Ukrainie już dawno nie udało mi się zorganizować w samym środku Europy – Wiesz, co mi powiedział wczoraj Władimir Władimirowicz? He? – Korowiow aż mlasnął z zadowolenia i na chwilę zawiesił głos...

Behemot odwrócił swoje obrzydliwe, jednookie oblicze i łypał na kompana z zaciekawieniem.

– Ano pochwalił i powiedział „Mołodiec, Korowiow, ty nastajaszczij mołodiec” – wycharczał z dumą czort i dodał – A potem poklepał jeszcze po ramieniu...

– No to zuch z ciebie. Woland pewnie też nie poskąpi zaszczytów – wymamrotał Behemot bez zbytnej pewności w głosie, bo obaj wiedzieli, że Hrabia nie był skory do szafowania pochwałami – A co tak ucieszyło tego watażkę o gołębim sercu – zachichotał kocur.

– No jak to, przecież ta swołocz z Brukseli i Waszyngtonu nie ma kompletnie pojęcia, co teraz robić, bo nic nie rozumie, co się tutaj dzieje. Głupki i miernoty... Bałagan – kurwa – bałagan się liczy. Wszędzie od Lwowa do Sewastopola albo jeszcze dalej. Widziałeś, jak tych dwóch kretynów z Warszawy robi w gacie. I srają już tak od Smoleńska – powoli, ale codziennie; aż miło popatrzeć. Rozpierducha na pół świata. Tych paru, którym zachciało się wolnej Ukrainy, już ziemię gryzie. Pozostały jeszcze niedobitki, ale zostawimy ich na deser. Będą jeszcze skomleć o litość, ale przecież my litości nie znamy. Władimir zresztą też nie.

Korowiow odchylił połę surduta i z kamizelki wyciągnął platynowy zegarek Patek Caliber 89 warty z pięć milionów dolarów. Była dziewiąta rano, a układ gwiazd wskazany przez mechanizm dowodził, że to będzie kolejny dobry dzień.

– Cudo, cudenko, zobacz – i przybliżył zegarek pod przekrwione ślepię Behemota. – Dostałem w prezencie od Angeli. Ta też już nie wie, jak ma mi w dupę włożyć. Ale ona jedna chyba coś z tego wszystkiego rozumie. Do Soczi posłała hołd lenny i Władimir aż pękał z rozkoszy, kiedy ten dupek Bach wychwalał Rosję pod niebiosa. Skąd ten Woland wytrzasnął takiego pajaca? A Bubka myślał, że z tym szwabem

wygra wybory na prezydenta MKOL. Za chudy jesteś Siergiej w uszach, tak samo jak cała ta twoja zasrana Ukraina. I jak będzie trzeba, to wam z Angelą zorganizujemy w Doniecku albo w Charkowie nowe SS Galizien. I wcielimy w szeregi Kliczkę, Jaceniuka i Tiahnyboka na okrasę.

Korowiow zaniósł się śmiechem, aż zatrzęsły się ściany Emirates Palace w Abu Zabi.

– Behemot, zadzwoń do recepcji po szampana. Zamów, no może Shipwrecked 1907 Heidsieck rocznik 1997. Wracamy za chwilę do Kijowa, a tam, póki co, ciężko o dobry trunk – Wiesz, to jest najgorsza część tej roboty, że trzeba się zadawać z tymi brudasami i przygłupami. Na Kremlu chociaż czysto i przytulnie. Władimir ma niezgorszy barek, a i o dobre cygaro nietrudno. Ale czego się nie robi dla idei – westchnął Korowiow i zamoczył usta w musującym napoju. – Od czasu do czasu trzeba pocierpieć.

Cyrograf

(na nutę „Mistrza i Małgorzaty”)

Ktoś z tak wielkim rozmachem otworzył drzwi do gabinetu, że aż framuga zadrżała w posadach. Na progu stał Behemot i w łapach trzymał telefon satelitarny najnowszej generacji typu GlobalHello. Słuchawka pulsowała na przemian zielonymi i czerwonymi światełkami. Wydawała też krótkie sygnały dźwiękowe o wysokiej częstotliwości.

– Sodoma i Gomora – pomyślał Woland. – Na utrapienie wymyślili te elektroniczne cudeńka.

– Szeffie, Moskwa na linii – zameldował czarny, jednooki kocur.

Na Wolandzie, który właśnie stał przed kominkiem i wpatrywał się w trzaskający ogień, ta nowina nie zrobiła specjalnego wrażenia.

– Delikatnością nie grzeszysz, łajdaku. Rozwalisz kiedyś te wrota, a na remont nie mamy środków w budżecie do następnego wieku – burknął zniecierpliwiony.

– Kogo to niesie? – zapytał, co nieco udobruchany trochę załosnym wyrazem twarzy czarnego obwiesia, którego Wielka Kapituła Piekielna wysłała na ziemię, by siał wszem i wobec zgryzoty i zwątpienie.

Behemot jednym skokiem pokonał dystans dzielący go od Wolanda i miękko wylądował na jego ramieniu. Od czasu do czasu pozwalał sobie na taką poufałość.

– Dzwoni dy-re-ktor Fe-de-ral-nej Służ-by Bez-pie-czeń-stwa – przesyłabizował Wolandowi prosto do ucha – Generał Bortnikow, Aleksander Władimirowicz – dodał po chwili.

– A czego ta kanalia ode mnie chce? Czy on nie wie, która jest godzina? – zapytał jakby sam siebie Woland i spojrzął na zegarek. Było już dobrze po północy. O tej porze czasami dzwonili z sekretariatu potwora Geriona z VIII Kręgu Piekiła i pytali o swołocz różnej maści i autoramentu, które spychał z ziemskiego łez padolu w piekielną otchłań Korowiov. Jak Korowiov się ociągał i nie wykonywał dziennego planu, natychmiast wiedźmy od Geriona słały telefoniczne ponaglenia.

„Korowiov musiał dzisiaj spisać się na medal, bo czeluście piekielne milczą” – pomyślał Woland i odwrócił się gwałtownie plecami do ognia. Zlekceważone płomienie zasyczały z zazdrości. Behemot wręczył telefon Wolandowi, po czym lekko zeskoczył na podłogę i kucnął w bezpiecznej odległości od pryncypała. Zdarzało się bowiem, że Woland bez powodu wymierzał mu potężnego kuksańca, a to nie było przyjemne. Cios kopytem w podbrzusze albo chłosta ogonem... lepiej stanąć nieopodal – pomyślał.

– To ty Bortnikow, stary sadysto? Na ilu nieszczęśników wydałeś dzisiaj wyrok? Wysyłałeś do łagru czy raczej do piachu?

– Drogi Książę, czy musisz się do mnie zwracać na powitanie tak obcesowo? – próbował łagodzić Bortnikow – Przecież wiesz, to taka praca. Zresztą podobno gramy w jednej drużynie, a ja, ilekroć zadzwonię, to ciągle muszę wysłuchiwać tych... uszczypliwości. Przykro mi się robi i wódka zaraz nie smakuje. Czy ty wiesz, Książę, co to są wyrzuty sumienia?

– Nie wiem, Bortnikow, ale wiem, że jak do mnie dzwo-nisz, to nie wolno ci w tym samym czasie zabawiać się z dziwkami. Uwłączasz mi takimi manierami. Czy myślisz, że ja nie widzę, co ty teraz wyprawiasz? Skup się, bo ci przyślę Flegiasza i przeprawisz się przez Styks w oka mgnieniu. Masz te wywłoki wyrzucić na zbity pysk albo przerywam połączenie. Liczę do trzech; raz, dwa...

Bortnikow chyba przejął się ultimatum Wolanda, bo po drugiej stronie słuchawki dało się słyszeć wyraźne odgłosy zamieszania i krótkie, ale i dosadne, „wypierdalać” rzucone tonem nieznoszącym żadnego sprzeciwu.

– Ależ Książę, nie chciałem cię urazić. Wybacz. Miałem dzisiaj ciężki dzień. Z powodu sytuacji na Ukrainie Putin opierdalał mnie cały dzień i to nie były przelewki. A potem dołożył swoje Ławrow. Nasze szwadrony śmierci w Kijowie, snajperzy i kilka tysięcy agentów od Charkowa po Lwów to dla nich za mało. Mówią, że nie jestem wystarczająco

stanowczy. Chciałem wczoraj otruć Janukowycza, ale jak się Putin dowiedział, to wpadł w szal i odesłał mnie do wszystkich diabłów. A propos, słyszałeś Księżę coś o tym, to znaczy, że mam, no wiesz, pójść do wszystkich diabłów? Księżę, daj jeszcze tutaj pożycz – wymamrotał płaczącym głosem Aleksander Władimirowicz.

– Mazgaju, weź się w garść. Wielki dyrektor FSB i z Majdanem nie może sobie poradzić. Wyrznąć w pień watahę i po krzyku... – pojednawczo zagaił Woland.

– Właśnie, właśnie, drogi Księżę, ja poniekąd w tej sprawie. Wyrznąć mogę ich w każdej chwili, ale wypadałoby zachować pozory... Dlatego do ciebie dzwonię. Chciałbym uzyskać wgląd do teczki pracy tego firyka z Chobielina. A teczka pracy figuranta leży u was w archiwum. Korowioł chwycił się onegdaj na Kremlu, że wydebił od niego cyrograf jeszcze w latach 80. XX w. w Afganistanie. Przebiegły gość, donosił tam na dwie strony albo i na trzy. Potem pomagał nam przy wieży szympan-sów w Smoleńsku, a teraz ujawnia naszą agturę na Ukrainie Amerykanom. Trudno za nim trafić. Chciałbym wiedzieć, za co wam się sprzedał, bo Korowioł milczy jak zaklęty i mówi, że nie ma upoważnienia z Departamentu Cyrografów IX Kręgu Piekła ds. Zdrady i że tylko ty, Księżę, możesz to załatwić. Moje FSB nie umywa się do waszego Departamentu Cyrografów. Nie te progi, zwłaszcza jeśli chodzi o obyczajówkę...

Woland przez chwilę rozmyślał, jakby ważył każde niewypowiedziane jeszcze słowo. Wreszcie przerwał milczenie.

– To nie jest takie proste, Bortnikow, ty szuj. Przecież

zwyczajowo nie pokazujemy nikomu naszych archiwów. Będę musiał przekupić kogoś w sekretariacie.

– Behemot, kto tam siedzi? – zagadnął kocura.

– Judasz i Brutus – padła błyskawiczna odpowiedź.

– No, nie powiem, żeby to stanowiło jakiś wielki problem, ale jednak. Muszę coś z tego mieć... – i Woland zawiesił głos w pół zdania.

– No tak, nie ma nic za darmo – stęknął Bortnikow – ale byłem na to przygotowany – oznajmił rzeczowo.

– Powiedz Korowiołowi, że mu wystawię Arsenija Jajeniuka i Witalija Kliczkę. Za ich dwa cyrografy na pewno dostaniecie premię i kilka dni urlopu. No to jak, umowa stoi, drogi Księżę?

Woland przez chwilę oceniał w myślach ofertę Bortnikowa. Była interesująca... Nie ma słodszy widoku jak zgnojony naród. Ej, wy na Majdanie, porzucicie wszelką nadzieję. I roześmiał się Księżę Piekło złowieszczo, sam do siebie, w skrytości ducha.

– OK, Bortnikow, zgłoś się do mnie jutro. A tak z czystej ciekawości, jakie masz plany wobec tego gościa z Chobielina?

– No, zanim do was trafi urządę mu tutaj piekło na ziemi. Ma prze-je-ba-ne! A potem oddam go w łapy Amerykanom. Śmieć jeszcze nie wie, że jego Annuszka znowu rozlała olej słonecznikowy i to na mój rozkaz. Bo ścierwo Ignie do ścierwa – zachichotał Bortnikow.

Woland rozłączył telefon i podszedł do Behemota.

– Masz mi na rano dostarczyć teczkę pracy tego figuranta. I przekaz Korowiowowi, że ma się jutro stawić na Majdanie. I niech tam czeka na instrukcje.

(Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe i niezamierzone. – przyp. M.R.)

Bandyci

Jeśli mnie pamięć nie myli, uczestnicy ulicznych starć z tzw. organami bezpieczeństwa publicznego byli w czasach PRL-u nazywani przez urzędujące władze i służby jej propagandystów bandytami, renegatami, a w najlepszym razie warchołami. Czasami grozono im nawet śmiercią albo trwałym kalectwem, przypominając, że każda ręka podniesiona na socjalizm zostanie ucięta. Pałowanie demonstrantów i ścieżki zdrowia to był w zasadzie najniższy wymiar kary dla polskich rebeliantów z 1956, 1968, 1970, 1976 czy 1981 roku. Bo śmierć zbierała wówczas przecież swoje krwawe żniwo, a tzw. Polak strzelał do Polaka na każdy rozkaz.

Wraz z nastaniem republiki Okrągłego Stołu ten i ów uwierzył, że już nigdy społeczeństwo nie będzie musiało odwoływać się do argumentu „dyskusji ulicznej”, której podstawą z jednej strony są kamienie, sztachety i butelki z benzyną, a z drugiej pałki, gaz pieprzowy i gumowe kule (na razie).

Ojcowie założyciele III RP oraz wszelki mainstream propagandowy przekonują bowiem, że przecież żyjemy w wolnej i demokratycznej ojczyźnie. A każda ręka podniesiona na „wolną” i „demokratyczną” jest ręką bandyty, faszysty, kibola i wszelakiej prawicowej swołoczy. I że musi panować szczęśliwość i zgoda w społeczeństwie, a Winnicki, Staruchowicz i ich kamraci brudzą niemiłosiernie i trzeba ich zdelegalizować, a następnie izolować w więzieniach i psychuszkach.

Tylko że rzeczywistość coraz bardziej skrzeczy i tu jak na złość ani szczęśliwości, ani zgody nie ma i być nie mogło, skoro patronat nad „nową Polską” objęli, u jej zarania, Kiszczak i Jaruzelski oraz post-socowa „korporacja” rodem z WSI.

Polityka korporacyjna dla wybrańców zblatowanych z władzą, korupcja, grabienie majątku narodowego, spychanie na margines materialny kolejnych dużych grup społecznych, państwowy terroryzm, wszechobecne w mediach kłamstwo, zadekretowana urzędowo niesprawiedliwość czy brutalny zamach na uczucia religijne stały się dniem powszednim tej „demokratycznej” i „wolnej” Polski przełomu wieków. Można powiedzieć, że najdłużej żerujący na tej patologicznej kreaturze państwa Donald Tusk i tak jest szczęściarzem, bo na razie nikt nie spalił gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, tylko zamachnął się na „tęczę”, w zamiarze ewidentnie konfrontacyjnym, postawioną na Placu Zbawiciela w Warszawie kilka lat temu. Cóż za wyrozumiali rebelianci! Toż to prawdziwi smakosze rewolucji! Zamiast powroza, jakieś takie symboliczne harce!

Dobrze powiedział Wojciech Cejrowski: tutaj mamy Plac Zbawiciela, a nie plac zbrodni. Niech zatem nikogo nie dziwi ten ogień. W tym Kraju było już tak, że za podpalenie budynku komitetu wojewódzkiego PZPR stawiano pomniki. Może warto ten fakt tej władzy przypomnieć, gdy odsądza ona od czci i wiary kolejne pokolenia ulicznych „bandytów”.

Prawem obrażanych, wykluczonych i prześladowanych prawie zawsze w dziejach był agresywny protest. Bo ten rodzi się z bezsilności. I tym razem nie będzie inaczej. Tusk, Sienkiewicz, Kuźniar i Kraśko, każdy na swój sposób, będą nadal lżyć i znieważać to społeczeństwo i spychać je do getta, tam gdzie nie ma nie tylko pracy, ale także nadziei, o wolności i demokracji nie wspominając. Tylko, że nienawiść, panowie, to jest siła trudna do okiełznania, a gdy uzasadniona, trzeba wam będzie budować koszary dla kolejnych oddziałów policji jawnych i tajnych...

Wiem, tutaj nad Wisłą wiele się popłatało. Znowu nie zawsze wiadomo, gdzie czai się policyjny prowokator, a na kogo można liczyć w godzinie próby. Ale wygląda na to, że weszliśmy w schyłkowy, dekadenski okres w dziejach III RP. Im większa arogancja i korupcja władzy, tym więcej ludzi na manifestacjach. I siłowanie trwa! Tylko czekać, gdy kolejna manifestacja nie wystąpi do HGW o pozwolenie na przemarsz... a zamiast gumowych minister zaordynuje ostre... Historia uwielbia się powtarzać.

Ku pokrzepieniu serc powiem, że nieważne, kto podpałił „budę ruską” przed ambasadą bolszewickiej Federacji

Rosyjskiej. Ważne, że wieść gminna odmówiła Rosjanom zwrotu jej szczątków do czasu zakończenia polskiego śledztwa. Ten wic dowodzi, że duch w narodzie nie ginie. Mała pociecha, ale pociecha!

„Polscy bandyci” znowu zawładnęli językiem „Onych”. Ileż to już razy w nieodległej tak przecież historii. Tym razem w „wolnej” i „demokratycznej”... Jak przed laty, z Radomia i Ursusa, trzeba znowu potępiać warchołów i uciekać się do argumentu siły.

Psy łańcuchowe reżimu

Ikony dziennikarstwa soc-propagandy i stanu wojennego: Irena Falska, Grzegorz Woźniak, Irena Dziedzic, Marek Barański, Marek Tumanowicz, Andrzej Raclawicki, Stanisław Cześnin, Marcin Willman, Witold Stefanowicz, Karol Nowakowski, Barbara Grad, Jerzy Rosołowski, Andrzej Kozera, Andrzej Bilik... A wymieniam tylko garstkę tych, którzy okłamywali codziennie Polaków z centrum nadawczego telewizji przy ulicy Woronicza w Warszawie. I można wpisywać na tę listę kolejne nazwiska. Bo przecież na usługach komunistycznej władzy, gotowych zrealizować każde, najbardziej nawet podle zamówienie, pracowało tysiące osób zatrudnionych w tzw. Polskim Radiu czy w prasowych redakcjach, w „Trybunie Ludu”, w „Sztandarze Młodych”, w „Żołnierzu Wolności”, w „Expresie Wieczornym”, w „Polityce”. Na ich wizytówkach pod nazwiskami widniała nazwa wykonywanej profesji: „dziennikarz”.

Symbolem, a może właściwie należałoby powiedzieć, sumą „ład medialnego” tamtych czasów stał się, pełniący swoją funkcję od 17 sierpnia 1981 do 18 kwietnia 1989 roku, rzecznik prasowy peerelowskiego rządu Jerzy Urban, przez wieść gminną sławiony dzisiaj jako Goebbels stanu wojennego. Za Urbanem i jego podwładnymi stał oczywiście cały aparat propagandowy totalitarnego państwa w postaci różnych służb spraw wewnętrznych i zewnętrznych, wydziałów prasy komitetów centralnych czy wojewódzkich PZPR-u i urzędów kontroli prasy, publikacji i widowisk. Wszechobecna była oczywiście tzw. cenzura wewnętrzna, bo po krótkim czasie stosowania represji wszyscy dookoła wiedzieli, co można napisać, a czego nie – na zasadzie słynnego „wicie – rozumiecie”. Propaganda stosowana w PRL-u miała dwie funkcje. Po pierwsze miała na celu oczywiście oszukiwać społeczeństwo. A po drugie ci, którzy nie dali się oszukać, musieli się bać. Garstka straceńców wypisywała oczywiście na murach, że „Falska kłamie” albo jeszcze ostrzej „Telewizja kłamie”. Przez chwilę stosowano inne społeczne formy nacisku bezpośredniego na władzę i obywateli podczas emisji Dziennika TV na znak protestu wychodzili z domów na spacer. Barański z Tumanowiczem śmiali się oczywiście z tego w kulak, w myśl słynnego kupletu z kabaretu Dudek „...oni mogą panu majstrowi skoczyć tam, gdzie pan może pana majstra w dupę pocałować...”. „Oni”, to byliśmy my, czyli społeczeństwo, a „pan majster” symbolizował ogólnie pojętą władzę. Jak jakiś przysłowiowy „pan” przychodził z pretensjami, to mu władza

dawała do zrozumienia, gdzie ją można pocałować i rozpoczynała się kolejna audycja na falach eteru Polskiego Radia pt. „Tu jedynka” z Jerzym Małczyńskim i Bożeną Krzywobłocką w rolach głównych (zawsze o 16.00) – trochę fajnej muzyki w tle, Dire Straits, te rzeczy, a pomiędzy muzycznymi taktami ostra socowa jazda „bez trzymanki”. Jak ktoś jej wysłuchał, to następnego dnia biegł do kiosku i kupował tygodnik „Rzeczywistość”, bo musiał odczuwać niedosyt szczucia na opozycję i wszelakiej maści wywrotowców.

Wiem, że dla wielu młodszych Czytelników niektóre wymienione już nazwiska i tytuły gazet mogą brzmieć obco i tajemniczo, ale wystarczy wpisać w wyszukiwarce te hasła i zaraz dowiedziecie się o zasługach tych kilku osób i formacji medialnych dla ratowania socjalizmu przez Wojciecha Jaruzelskiego.

I kiedy wydawało się, że wreszcie po latach upodlenia korporacja dziennikarska otrząśnie się, założy gorset na przezącony kręgosłup i zacznie lizać rany, okazało się, że tej gangreny nie pozwolą nam wyleczyć. Pan majster zdjął siermiężne socowe walonki i kufajkę, zamówił u Hugo Bossa garnitury (to ta sama firma, która szyła mundury dla armii niemieckiej w czasie II wojny światowej) i obdarował swoich funkcyjnych koleśki koncesjami dla Polsatu i TVN-u, a także doprowadził do zawłaszczenia „Gazety Wyborczej”. Naród wpadł w zachwyty, bo niewiele z tej operacji zrozumiał, gdy Dziennik TV przemianowano na Wiadomości i zamiast Marka Barańskiego zobaczyliśmy Wojciecha Reszczyńskiego (Panie Wojciechu,

proszę wybaczyć tę reminiscencję; wiem, że Pan dzisiaj wyłączy ze skóry w medialnej konfrontacji z „panem majstrem”, ale uważam, że wtedy został pan w niecny sposób wykorzystany).

Nowy ład medialny w III RP, z grubsza rzecz biorąc, oddano w ręce czterech „oligarchów”. Trzej z nich: Mariusz Walter, Jan Wejchert (TVN) i Zygmunt Solorz (Polsat) miało wszechstronne „służbowe” doświadczenie. Czwartym był czerwony opozycjonista z Alei Róż Adam Michnik („GW”), dla którego obrona honoru Kiszcza i Jaruzelskiego, jak się okazało, stanowiła cel, do którego dążył całe życie.

Sytuacja ani na chwilę nie wymknęła się spod kontroli architektom pookragłostołowej Polski. Na dodatek z medialnego rynku pogardy nie zniknęli starzy wyjadacze, jak Urban i Barański (vide tygodnik „Nie”). Kilku innych zeszło oczywiście z pierwszej linii frontu, żeby nie denerwować gawiedzi, ale ogólnie rzecz ujmując, krzywda im się nie stała. Poukrywali się w różnych spółkach, ministerstwach, zostali jak Grzegorz Dziemidowicz szanowanymi ambasadorami w Egipcie, Sudanie czy Grecji. Mało kto kojarzy ich dzisiaj z dziennikarskimi szujami, na przykład z Woronicza.

Potężne korporacje medialne od samego początku swojego istnienia jęły urabiać gusty i umysły swoich widzów. I w dziele tym potrzebowali dziennikarskich zastępów, legionów ślepych i głuchych wykonawców woli kierowników i dyrektorów programowych czy redaktorów naczelnych. Na Czerską, Ostrobramską i Wiertniczą pielgrzymowały tyśiące złaknionych dziennikarskiego fachu dziewcząt i chłop-

ców, kobiet i mężczyzn. I jak w piosence Perfectu, dostawali czego chcieli. Poszli na zatracenie! Prawie nikt z nich nie dostrzegał, że za progiem czai się już tylko zwykłe zaprzaństwo i kurestwo. Ale gdzieś trzeba pracować, trzeba jakoś żyć. Trudno także pogardzić tą odrobina prestiżu i sławy, którą daje ogólnopolska audycja z ich udziałem czy artykuł opublikowany choćby na ostatniej stronie gazety.

Media III RP nie zapomniały oczywiście o swoich „synach pułku”. Z czasem pierwsze, gwiazdorskie skrzypce zaczęły w nich grać osobistości z pięknym komunistycznym rodowodem.

Warto dla porządku przypomnieć kilka z tych figur, które cały czas rozgrywają mecz przeciwko, najczęściej nieświadomemu i bezbronnemu, społeczeństwu.

Andrzej Morozowski, syn Mieczysława Morozowskiego (wcześniej nazywał się Jodek Mordka), działacz młodzieżówki Komunistycznej Partii Polski. W czasie wojny Mieczysław Morozowski przebywał w ZSRS – po jej zakończeniu trafił do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Justyna Pochanke, córka Renaty Pochanke, jednej z najbliższych współpracowniczek Janiny Chim, skazanej w aferze FOZZ-u. Justyna Pochanke karierę dziennikarską zaczynała, przypadkowo, w telewizji publicznej w stanie wojennym. Ojczym Justyny Pochanke, płk Stefan Gruszczyk, były członek PZPR, często gości w TVN 24 w programach pasierbicy. Zabiera głos w związku z tragedią smoleńską jako „niezależny”

ekspert. Warto przypomnieć, że mówił m.in. o naciskach na pilotów.

Monika Olejnik, córka płk. Tadeusza Olejnika, który pracował razem z mjr Lucyną Tuleją (matka słynnego sędziego) w Służbie Bezpieczeństwa – razem byli funkcjonariuszami Biura „B” MSW PRL. On zajmował się m.in. „ochroną” ambasad, ona – pracą z agenturą w środowisku personelu ambasad.

Hanna Lis, obecna żona Tomasza Lisa, córka Waldemara i Aleksandry Kedajów. Waldemar Kedaj był m.in. dziennikarzem „Trybuny Ludu”, korespondentem PAP-u, m.in. w Rzymie. Do pracy w Agencji został skierowany przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Socjalistycznej. Powierzono mu tam funkcję kierownika działu zagranicznego. W latach 1970–1972 był korespondentem w Hanoi. Wyróżniał się zaangażowaniem partyjnym – był członkiem egzekutywy PZPR-u w PAP-ie. Według akt służb specjalnych PRLu został zarejestrowany jako kontakt operacyjny „Mento”.

Piotr Kraśko, obecny szef „Wiadomości” TVP1, jest synem funkcyjnego dziennikarza w PRL Tadeusza Kraški i wnukiem Wincentego Kraški, komunistycznego dygnitarza PRL, był m. in. wicepremierem w rządzie Piotra Jaroszewicza, szefem towarzystwa „Polonia”, członkiem Rady Państwa, długoletnim posłem PRL.

Monika Richardson, wnuczka Wincentego Kraški.

Grzegorz Miecugow, syn Bruno Miecugowa, krakowskiego dziennikarza, publicyisty, scenarzysty i pisarza. W la-

tach 1950-1956 Bruno Miecugow współpracował z pismem Komitetu Powiatowego PZPR i Powiatowego Zarządu ZMP „Budujemy socjalizm”. Bruno Miecugow w 1953 r. podpisał tzw. apel krakowski. Była to rezolucja pisarzy, którzy popierali stalinowskie władze PRL, potępili aresztowanych księży kurii krakowskiej i opowiedzieli się za wysokimi wyrokami, również karą śmierci.

Oto ikony dziennikarstwa III RP wykreowane przez ojców chrzestnych nowego ładu medialnego nad Wisłą po 1989 roku, m.in. przez towarzysza Mariusza W. O tajnych współpracownikach Służby Bezpieczeństwa w środowisku dziennikarskim, którzy nigdy de facto nie zmienili poglądów i oficerów prowadzących, takich jak Jerzy Baczyński czy Daniel Passent nie warto już nawet wspominać, bo otworzylibyśmy kolejną puszkę Pandory...

Korporacja dziennikarska ugrzęzła w łajnie i nie ma zamiaru się z niego wydostać. Zewsząd przybywają nowe zastępy: Gugały, Wrońskie, Czuchnowskie, Kuźniary, Kubliki, Durczoki. Bezwzględni, cyniczni i bez reszty oddani swojej misji. Mieli i mają dobre wzory, mieli i mają przewagę liczebną, a jak wiadomo, w grupie zawsze różnie. Czasami można odnieść wrażenie, że zaprzędając duszę diabłu, nie zrobili tego z wyrachowania, tylko głęboko uwierzyli w swoją rację. Żyją w getcie w świecie bez wiary, w którym nie ma przeszłości i przyszłości. Psy łańcuchowe reżimu, wtedy, za Urbana, i dzisiaj, za Waltera i Michnika, tacy sami. Roznoszą gangrenę po całym kraju, naplują na wszyst-

kie wartości, znieważą każdego, kogo władza wystawi im na polowaniu. Słowem zabijają nienarodzonych, gestem wyszydzą słabszych, milczeniem zmieniają znaczenia, śmiechem ugodzą w uczucia, pomieszają fakty, zaprzeczą empirycznej rzeczywistości, a wszystko to bez wysiłku, tak zwyczajnie, od niechcienia. Królowie życia.

Prawda i fałsz

Trudna jest rola komentatora i działacza społecznego we współczesnej Polsce. Celowo nie napisałem dziennikarza obywatelskiego, chociaż od wielu lat moja działalność mogłaby wskazywać, że taką właśnie rolę odgrywam w tym gabinecie krzywych lusterek albo figur woskowych, jak kto woli. Mam bowiem wrażenie, że cokolwiek bym nie napisał na temat naszej nieszczęsnej Polski, jakiegokolwiek fakty przywołałbym na udowodnienie tezy, że coraz bardziej, jako państwo i społeczeństwo, grzęźniemy w wielowarstwowym ideowym i ekonomicznym bagnie, a także w tym kompletnym mainstreamowym, propagandowym zidioceniu, tym częściej spotykam się z relatywizowaniem moich publicznych opowieści i wypowiedzi.

Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że mam monopol na prawdę. Takiego monopolu oczywiście nie ma nikt, ale w dyskusjach pod moimi felietonami spotykam się z komentarzami,

których nie mogę traktować inaczej, jak skuteczną próbę obalenia sytemu „zerojedynkowego”, systemu, na którym została oparta cała nasza śródziemnomorska, chrześcijańska cywilizacja. Także w wymiarze symbolicznym!

Podam przykład. Otóż zupełnie niedawno napisałem gdzieś, że „jak Pan Bóg przykazał” poszedłem w niedzielę do kościoła na niedzielną Mszę Świętą. I od razu kilku „rozgrzanych” Czytelników zaczęło zadawać mi pytanie, a gdzie to Bóg powiedział, że trzeba w niedzielę chodzić do kościoła? Chciałbym, żebyście zrozumieli ten delikatny aspekt, który w tym miejscu poruszam. Użyłem pewnego plebejskiego, nazwijmy go wiejskiego, bo wychowałem się na wsi (Wilczyńska, Jeżów, Małopolska, kiedyś zachodnia Galicja), chociaż urodziłem się w Warszawie, na dumnym i niezłomnym Mokotowie i nie mam żadnych kompleksów ani z powodu wsi, ani z powodu Warszawy, a więc użyłem, jak z Rabelais’ego, zwykłego, etnicznego kolokwializmu: „jak Pan Bóg przykazał”. Bo ja właśnie tak rozumiem ten język! Bo ja tak właśnie rozumiem nauczanie Kościoła. Mam Dzień Święty święcić. I tak mi mówi 3. Boże przykazanie. I to jest proste, jasne i klarowne! I nieodwołalne! A wy, relatywiści, róbta, co chceta! Jak Jerzy Owsiak!!!

Ale mimo wszystko chciałbym także oświadczyć relatywistom, że zranili moje uczucia religijne. Ja jestem prosty chłopak i może już niedługo mi na tym najlepszym ze światów! *Sacrum* i *profanum* mam zapisane w moim kodzie językowym. I tylko z tym kodem językowym stanę kiedyś na

Sądzie Ostatecznym! I przy pomocy tego kodu odbędę moją najważniejszą spowiedź!

Jak uważam, że mi Bóg coś przykazał, to mi przykazał i ja się tego trzymam. Prosta filozofia, jak konstrukcja cepa! Tak samo prosta jak żniwa, jak robienie powróseł, jak kopienie siana, jak orka, jak dzwony na Anioł Pański. Tak, tak, na Anioł Pański. Czy u Was, relatywiści, ciągle dzwony biją na Anioł Pański, bo w moich Wilczyskach biją! To też jest kod językowy mojej cywilizacji.

Nad relatywistami w sieci mam jedną niezaprzeczalną przewagę. Wy jesteście w znakomitej większości anonimowi, ukrywacie się z waszymi poglądami, bo ukrywacie się z waszymi wizerunkami. Wasza wola! Ale to jest zwykłe tchórzostwo! I musicie mieć tego świadomość! Bo inaczej wypowiada się sądy i opinie pod własnym imieniem i nazwiskiem, a inaczej z czapką naciągniętą na uszy i oczy albo w masce anonima. Inaczej! Już sam pseudonim Was relatywizuje, drodzy relatywiści!

Napisałem na jednym z portali (chodziło o „3obieg” – przyp. M.R.) blisko 100 felietonów i artykułów. I bez pudła wskażę komentatorów moich tekstów, którzy nie są w stanie zrozumieć mojego kodu językowego. Jest ich kilku, ale pojawiają się zawsze w „stosownych momentach”, wtedy, gdy trzeba kruszyć fundamenty i mieszać porządki, sprowadzać dyskusje na manowce. Są czytelnymi i przejrzyści. To relatywiści!

We współczesnej Polsce wszystko się pomieszało. A prawda z fałszem na pewno! Właśnie na tym polega

zarządzanie wyobraźnią mas w III RP! To właśnie dlatego
Polską rządzą zdrajcy i szuje!

A ci, którzy do beczki prawdy wrzucają łyżkę dziegciu,
czyli fałszu, wystąp!!!

Czy naprawdę nie wiedzą, co czynią?

Niedawno, bo jakieś dwa, może trzy lata temu ferie zimowe spędzałem z synem w miasteczku Bad Wiessee, w Alpach Bawarskich, jakieś 30-40 kilometrów na południe od Monachium. Wraz z nami, w niewielkim pensjonacie, przebywały także jeszcze dwie polskie rodziny. W sumie było nas, Polaków, jakieś 8 czy 9 osób. W niedzielę, jak Pan Bóg przykazał, pomaszerowaliśmy wszyscy do miejscowego kościoła pw. Wniebowstąpienia NMP na Mszę Świętą. I oprócz nas na główną Mszę Świętą o godzinie 9.00 do kościoła przyszło jeszcze trzech, a może nawet czterech mieszkańców miasta. W Bad Wiessee mieszkają 4794 osoby. I przy takiej populacji na początku XXI wieku chęć uczestniczenia w niedzielnej mszy wyraziły tylko jednostki. Trzecie przykazanie Boże: Pamiętaj, abyś dzień święty święcił, legło w Bad Wiessee w gruzach.

W mojej Bobowej, w miasteczku o populacji ok. 3000 osób na wszystkich niedzielnych mszach kościoł pw. Wszystkich Świętych pęka w szwach i nie należy do rzadkości widok, że wiele osób uczestniczy w mszy, stojąc na dziedzińcu kościelnym.

Polska lewica od lat prowadzi zmasowaną kampanię antykościelną. I niestety z sukcesami. Antyklerykałów ci u nas dzisiaj dostatek. Publicyści z Czerskiej i Wiertniczej nie ustają w pouczeniu Kościoła i katolików w sprawach wiary. Marzą im się takie niedzielne msze, jak ta w Bad Wiessee, którą przeżyłem. Wszędzie przeszkadza krzyż, a każdy kapłan podejrzany jest o pedofilię. Biskupi powinni ze wszystkiego tłumaczyć się na przykład Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej albo Justynie Pochanke. Bohaterami tej złowrogiej opowieści są ludzie, którzy porzucili stan duchowny, jak Roman Kotliński albo ksiądz Lemański, który wypowiada posłuszeństwo swoim zwierzchnikom. „Nową Ewangelię” w mainstreamowych mediach szerzą takie dziwne indywidua jak ksiądz Sowa. Dzieciom w przedszkolach próbują zamieniać płeć. Gender wisi na wszystkich plakatach. Ta kropla niestety draży skalę. Wybaczcie jeszcze jedną prywatną, historyczną reminiscencję. Otóż, gdy przystępowałem do sakramentu bierzmowania w warszawskim kościele pw. św. Michała Archaniola na warszawskim Mokotowie w 1975 roku, wraz ze mną akt przekazania Ducha Świętego i umocnienia wiary przeżywała ponad setka dzieci. Mój syn w zeszłym roku, w tym samym kościele przyjmował ten sakrament z grupą 15, no może 16 osób.

I tak sobie o tym wszystkim myślałem, gdy w „polskim” Sejmie odrzucano obywatelski projekt ustawy, wprowadzający zakaz tzw. aborcji eugenicznej. Za odrzuceniem głosowało 233 posłów, przeciw było 182. Koniec dyskusji. Lewactwo zaciera ręce.

Jednak nie możemy podupadać na duchu. I nie zapomnijmy, co powiedział Chrystus na krzyżu: *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.*

Ale czy naprawdę nie wiedzą, co czynią?

Zburzyć Pałac Kultury!

Pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej pod wodzą profesora Krzysztofa Szwagrzyka odnajdują kolejne ciała Żołnierzy Wyklętych. Szendzielarz, Ciepliński, Dekutowski i wielu innych spoczną niedługo we własnych, dumnych mogiłach, wyrwani z ukrytych i anonimowych dołów i, jak się wydawało oprawcom bolszewickim, skazani w nich na wieczną niepamięć. „Łupaszka” i „Zapora” oddają Polsce jeszcze jedną przysługę. Bo fakt odnalezienia i zidentyfikowania ich szczątków wzmacnia w wielu Polakach pragnienie poszanowania prawdziwych symboli narodowych i odkłamania przekazu historycznego, którego ostatecznym celem było upodlenie i unicestwienie myśli o Wolnej i Niepodległej Ojczyźnie.

Nie przypadkiem narastają w ostatnich miesiącach stanowcze żądania usunięcia z polskiej przestrzeni publicznej pomników, które w PRL-u postawiono sowieckim okupantom. Bo to wprost niewiarygodne, że jak Polska długa i sze-

roka, od Krynicy Morskiej do Nowego Sącza, potykamy się ciągle o te haniebne monumenty z pepeszą i bolszewicką gwiazdą na cokołach. Postsowiecka zaraza, dla niepoznaki posługująca się językiem polskim, ciągle broni oczywiście „czterech śpiących” w Warszawie na placu Wileńskim, gdzie komunistyczny, tzw. Pomnik Braterstwa Broni ma podobno wrócić na stare miejsce po konserwacji, wykonanej przy okazji budowy warszawskiego metra. Jednak powinno być to całkiem jasne dla obozu zaprzańców, że ten pomnik nigdy więcej nie pojawi się w Warszawie! Tam na skrzyżowaniu al. „Solidarności” i ul. Targowej powinien stanąć Łuk Triumfalny Wojny Polsko-Bolszewickiej 1920 roku. Tam także można i trzeba uhonorować Żołnierzy Wyklętych, Żołnierzy Antykomunistycznego Powstania, wspomnianych wcześniej Szendzielarza, Cieplińskiego, Dekutowskiego, Pileckiego i wszystkich podkomendnych Wolnej i Niepodległej Polski. W tej sprawie należy powołać specjalny Komitet Honorowy, który zadba o wszystkie szczegóły tej narodowej misji. I niech zapisze się do niego dwa, trzy, dziesięć milionów Wolnych Polaków, gdziekolwiek los ich rzucił i z jakiegokolwiek powodu jeszcze milczą. I ten Komitet powinien jeszcze zadbać, żeby z centrum Warszawy zniknął Pałac Kultury, symbol sowieckiego zniewolenia. To nieprawda, że zburzenie Pałacu Kultury to jest kosztowna operacja i to nieprawda, że ten obiekt broni się swoją użytecznością publiczną. Może warto, żeby architekci i urbaniści przypomnieli Polakom, jak Warszawa wyglądała w tym miejscu przed wojną. Ten oble-

śny sowiecki buciór winien zniknąć z naszej polskiej przestrzeni i koniec! Won!

Nie wszystko uda się już naprawić po niemieckiej i sowieckiej pozodze, ale symbolicznym, narodowym imponderabiliom należy przywrócić należną im cześć i szacunek. Winniśmy to Pileckim, Szendzielarzom i Dekutowskim. Winniśmy to samym sobie!

Plac Bohaterów w Budapeszcie

Wszystkim przeciwnikom zburzenia Pałacu Kultury w Warszawie, i tym, których cieszy, że został wpisany do rejestru zabytków, i tym, którzy uważają, że dziarscy sowieccy żołnierze przynieśli Polsce wolność w 1945 roku, i tym, dla których szkoda publicznych pieniędzy na rozbiórkę socowego straszyla w imię głębokiego przeświadczenia, że przyszłość jest ważna, więc dajmy spokój przeszłości (filozofia grubej kreski), polecam wycieczkę do Budapesztu.

Tam na Placu Bohaterów, zwanym także Placem Tysiąclecia rządem stanęli: św. Stefan, król Władysław I, król Koloman, Andrzej II, Bela IV, Karol Robert, Ludwik I (w Polsce zwany Ludwikiem Węgierskim), Jan Hunyady, Maciej Korwin, Stefan Bocskai, Imre Thököly, Franciszek II Rakoczy, Lajos Kossuth, węgierscy bohaterowi narodowi. Całość wieńczy symboliczna kolumna z archaniołem Gabrielem na cokole.

W 1956 roku powstańcy węgierscy zburzyli, całkowicie bezinteresownie i spontanicznie pomnik Józefa Stalina, postawiony tam prawdopodobnie przez tych samych dziarskich sowieckich żołdaków, z których tylko nieliczni, jak można domniemywać, byli funkcjonariuszami NKWD, a tylko jednostki strzelały w potylicę. Większość oddawała się zwyczajnym ludzkim rozrywkom, tzn. piła samogon i gwałciła w podbitych krajach kobiety, bo te zajęcia z komunizmem nie mają nic wspólnego i stanowią raczej wkład kulturowy dumnego narodu bolszewickiego w dzieje podbitych prowincji tak nad Wisłą, jak i nad Dunajem.

A teraz zupełnie serio. Na Placu Bohaterów w Budapeszcie każdy obywatel Węgier może poczuć się dumny ze swojej historii. I czuje się dumny, wiem, bo byłem, widziałem i słyszałem. Warto choć raz posłuchać, o czym węgierska młodzież rozmawia na Placu Bohaterów, bo im horyzontu nie przesłania jakieś bolszewickie truchło, tylko czuwa nad nimi archanioł Gabriel.

A ja w Warszawie mogę sobie tylko zgrzytać zębami, bo mam się pogodzić z myślą, że przecież Pałac Kultury to także część mojej historii i mam być dumny, że bolszewickie hordy zdeptały tę ziemię, a przynajmniej pogodzić się z takim losem. No to wracajcie „czterej śpiący” na swoje miejsce i usypiajcie dalej ten niewolniczy naród. Archanioł Gabriel doradzał św. Stefanowi, a nie Bolesławowi Chrobremu. Właściwie, kto to był Bolesław Chrobry, może jakiś bohater kreskówek. Budujmy przedszkola, bo dzieci trzeba wychowywać na światłych

obywateli lewackiej Europy, a w Pałacu Kultury można zapisać się na basen, a jakby go garstka świrów zburzyła, to nawet basenu nie będzie. Chyba gdzieś już napisałem, że w Grenadzie zaraza, ale, zaraz, zaraz, to Poecie się pomyliło przed laty. Śpijcie spokojnie niewolnicy, tych czterech ciągle czuwał. Można im zaufać, wszak dziarskie to chłopaki...

Gdzie czai się zdrada?

Zdrada towarzyszyła polskiej państwowości prawdopodobnie od zarania dziejów. Ciągła walka o wolność i suwerenność z gigantycznymi obcymi żywiołami narodowymi z Mongołami, z Turkami, ze Szwedami, z braćmi po słowiańszczyźnie, Rosjanami czy wreszcie z żywiołem germańskim, rodziła u wielu rdzennych Polaków pokusę zdrady. Ze strachu, dla materialnych dóbr, z głupoty, z szaleństwa, z wielorakiego uwikłania, którego przyczyn mogą być tysiące, jak odcieni ludzkiej duszy i odmian linii papilarnych.

Historia i literatura polska będą zmagać się z problemem narodowej zdrady aż do chwili Sądu Ostatecznego. Pozostały i pozostaną w dokumentach pisanych i w wieści gminnej konkretne przykłady narodowego wiarołomstwa. A sztuki piękne ciągle na nowo będą próbować opisać ten haniebny proceder. Ilu poznamy jeszcze Andrzejów Kmiciców, Szczęsnych Potoczkich, Józefów Kossakowskich, Aleksandrów Wielopolskich

czy Stanisławów Brzozowskich ze wszystkimi odcieniami ich postaw, z całym arsenałem usprawiedliwień i argumentów ideologicznych i politycznych. Znajdą się także wśród nich niesprawiedliwie pomówieni.

I Rzeczpospolita starała się karać zdradę z całą bezwzględnością. Przypomnijmy sobie m.in. los targowiczana Józefa Kossakowskiego, powieszono go 9 maja 1794 r. na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Ręka kata nie dosięgła kilku innych jego kamratów. Jednak *Sąd Najwyższy Kryminalny skazał Stanisława Szczęsnego Potockiego, Franciszka Ksawerego Branickiego, Seweryna Rzewuskiego, Jerzego Wielhorskiego, Antoniego Polikarpa Złotnickiego, Adama Moszczeńskiego, Jana Zagórskiego i Jana Suchorzewskiego na karę śmierci przez powieszenie, wieczną infamię, konfiskatę majątków i utratę wszystkich urzędów. Wobec nieobecności skazanych, wyrok wykonano in effigie (tzn. na ich wizerunku) 29 września 1794.* Taki akt także miał swój wymiar i społeczeństwo otrzymywało sygnał, że dla zdrajców narodowej sprawy nie może być przebaczenia.

Także polska literatura nie знаła litości dla zdrajców. Wystarczy tylko przypomnieć smutny los Azji Tuchajbejowicza z sienkiewiczowskiej Trylogii.

II Rzeczpospolita, cudem scalona po 123 latach rozbiorów, miała pełną świadomość, że z obcą agenturą musi rozprawiać się z całą bezwzględnością. Czy sprawił to skomplikowany życiorys Józefa Piłsudskiego, który sam otarł się o podobne dylematy, lawirując pomiędzy obcymi służbami

w imię iluzorycznej przecież przyszłej niepodległości Ojczyzny? Fakt pozostaje faktem, że w maju 1926 roku oficerowie polskich tajnych służb zapukali do wielu drzwi i wykonali wiele wyroków, ratując młodą polską niepodległość. Że bez sądu? To był imperatyw bezwzględny; perspektywa wyższej konieczności.

Nie inaczej ze zdrajcami i konfidentami obchodziło się Polskie Państwo Podziemne podczas II wojny światowej. Tradycja fizycznego eliminowania wrogów narodowej sprawy nie była kwestionowana i nie podlegała relatywizacji.

Niestety, przyszedł w końcu czas zemsty i legion sprzedajnych wyrzutków i renegatów, zaprzęgniętych w chomąto stalinowskiego reżimu odwrócił wektory i zaprzeczył polskiej tradycji i jej niepodległościowym wartościom. Od tej chwili patriotyzmem nazwano służbę dla bolszewickiego hegemonu, a tradycyjny, nieznoszący kompromisów, polski narodowy honor z całą bezwzględnością mordowano strzałem w potylicę. I kiedy represje nieco zelżały, nic już nie było tak jak dawniej. Wszelkie prymarne wartości, definiujące przez wieki miłość do Ojczyzny, PRL zgnoił i zrelatywizował. Od czasu do czasu komunizm pokazywał jeszcze stępione kły i pazury, gdy skazywał zaocznie na śmierć Zdzisława Najdera czy płk. Ryszarda Kuklińskiego.

Niestety, III Rzeczpospolita nie potrafiła sobie z tą komunistyczną schedą poradzić. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby odwołać się do tradycji karania zdrady narodowej śmiercią lub choćby wieloletnim więzieniem, jak to drzewiej

w I i w II Rzeczypospolitej bywało. Należy powiedzieć więcej, właściwie żadnemu ze zbrodniarzy komunistycznych włos z głowy nie spadł. Niektórzy ukrywali się lub ukrywają się nawet pod opiekuńczymi skrzydłami państw zachodnich demokracji. Zewnętrzni i wewnętrzni wrogowie Narodu i Państwa Polskiego bezwzględnie wykorzystali tę systemową słabość pookrągłostołowej Polski i na naszych, bezsilnych oczach zamordowali nam Prezydenta, kpiąc sobie z nas, przy okazji, wobec całego świata, grabiąc naszą własność, rozrzucając wokół oszustwa i myląc tropy. Dla blisko połowy naszego społeczeństwa ten fakt nie ma dzisiaj specjalnego znaczenia, a Jaruzelski i Kiszczak z honorami dożywają swoich dni pod „wypasioną” opieką państwa.

Mimo wszystko zamach smoleński wyostrzył jednak kontury zdrady narodowej. Coś się zmieniło! Przynajmniej werbalnie znaczna część społeczeństwa, nieśmiało, bo nieśmiało, zaczęła nazywać rzeczy i wartości po imieniu. I mam wrażenie, że wszystkie strony polskiego spory politycznego i ideowego mają tego świadomość.

Napisałem ten felieton, żeby na koniec zadać Czytelnikom i samemu sobie właściwie jedno, ale wielowątkowe, pytanie: gdzie przebiega ta cieniutka granica pomiędzy poglądami i postawami politycznymi, tak przecież rozchwanianymi we współczesnej Polsce, tak często odległymi, tak wzajemnie się wykluczającymi, a aktem zdrady narodowej? Nie mówię w tym momencie o jawnej i tajnej agenturze na rzecz takiego czy innego państwa. Ten problem pozostaje poza wszelką

wątpliwością. Mówię o codziennych manifestacjach Polaków podczas wyborów politycznych, w pracy, w rozmowie, w myśli. Czasy, w których przyszło nam żyć, wykluczyły, być może, czarno-białą ostrość oceny. Jak już napisałem wcześniej, uniwersalne wartości zostały zrelatywizowane i sponiewierane.

Wylewając kawę na ławę i mówiąc wprost: czy redaktor Kuźniar z TVN-u został rzecznikiem środowiska zdrady narodowej, czy jeszcze nie? Czy on i jego koledzy dziennikarze, elity aktorów, pracowników naukowych, biznesmenów i wielu polityków oraz tzw. samorządowców, tolerując werbalnie rozkład ideowy i ekonomiczny III RP i uległość wobec mocarstw ościennych, odbywające się na naszych oczach, są zwyczajnym i naturalnym wytworem tzw. demokracji i w imię partykularnych, najczęściej egoistycznych i merkantylnych interesów powinni korzystać z pełni obywatelskich praw?

Słowem, za którym zakrętem naszych postaw i poglądów czai się zdrada interesu narodowego?

Polskie elity

Truizmem trąci przypomnienie, że kwiat polskiego narodu, licząc tylko od początków XIX wieku, przez dziesiątki lat, w imię najwyższych patriotycznych wartości, składał daninę życia na ołtarzu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Powstania, represje zaborców, wojny, kolejne fale emigracji, przedwcześnie odebrały życie milionom Synów i Córek tej ziemi. Polskie elity krwawiły, ale jednocześnie powstawały jak feniks z popiołów i kolejne pokolenia Polaków szły pod sztandarami wolności do kolejnych powstań, potrafiły stawić czoło bolszewickiej hordzie w 1920 r. i odbudować Państwo Polskie po 123 latach niewoli.

Polskim elitom towarzyszył szczególny narodowy i republikański etos niesiony wielkimi dziełami literatury romantycznej, pozytywistycznej i młodopolskiej. W polskich domach, przy świecach, a potem lampach naftowych rodziły się postawy, które ponad wszystko przedkładały dobro wspól-

ne naszej narodowej wspólnoty. I tak wychowani Polacy śnili o wolności, niepodległości i suwerenności, aż wreszcie po latach te marzenia stały się ciałem. Niestety, na krótko.

Mroczny czas II wojny światowej, a potem sowiecka okupacja, rozciągnięta na czasy PRL-u, położyły kres tak pojmowanej wspólnoty. Polskie elity zostały metodycznie zamordowane i unicestwione. I niestety, nie powstały już jak feniks z popiołów. Fizyczna eksterminacja Narodu Polskiego stała się wstępem do eksterminacji duchowej. Sowiecki bolszewizm jak żaden ze znanych systemów politycznych, posiadał na ten temat wiedzę właściwie kompletną. I stawiając sobie za cel zniszczenie polskiego społeczeństwa jako wspólnoty narodowej, w dużej części niestety dopiął swego. Społeczeństwu siłą przetrącono kręgosłup moralny i ideowy. W II połowie XX w. wzorem postaw stał się społeczny cynizm, oportunizm i brak szacunku dla dobra wspólnego. Człowieka PRL-u symbolicznie opisał w swoich piosenkach Jan Krzysztof Kalus: *wierzący, co wierzą, że muszą być w Partii, bo żona, bo dziecko, bo raty, bo maluch, partyjni, co chyłkiem przyjmują komunię, bo bony na cukier, bo bony do raję* zbudować mieli tzw. drugą Polskę. To właśnie tak pojmowany ustrój i „duch” społeczny, podszyty strachem przed władzą, miast elit światłych i odpowiedzialnych za państwo, wyprodukował 100 tysięcy tajnych współpracowników, kilka milionów członków i kandydatów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, trepów z Ludowego Wojska Polskiego, członków Inspekcji Robotniczo-Chłopskich, ORMO, ZOMO i innych tajnych i jawnych funkcyjna-

riuszy. Niestety, taką „drugą” Polskę nam zbudowano i z tym garbem, poprzez obrady Okrągłego Stołu, weszliśmy w epokę III RP; bez elit, które stanęłyby do odbudowy zniszczonego przez komunizm kraju.

Prócz złowróżbnych, oszukańczych reform, kolejnych afer gospodarczych, rozkładu infrastruktury, stopniowego dewastowania tkanki gospodarczej i ekonomicznej państwa, próżno szukać w naszej współczesności pozytywnych przykładów wielkich idei odbudowy i reformy Państwa. III RP jakby z rozmysłem nie pomyślała o przywróceniu społecznego szacunku polskiemu nauczycielowi, inżynierowi, lekarzowi, profesorowi akademickiemu, sędziemu. Nie dała im także szansy na rozliczenie się z przeszłością. Dlatego zostali w blokach i zasilili w większości elektoraty, o różnych nazwach, postkomunistycznych platform. Społeczny cynizm, oportunizm i brak szacunku dla dobra wspólnego przetrwały nienaruszone i jak rak toczą instytucje i organizacje społeczne w naszym kraju. Polskie elity nie mogą się odrodzić. Z idei solidarnościowej wspólnoty 1980 roku, którą próbował jeszcze wskrzesić Jan Paweł II podczas swoich pielgrzymek do Ojczyzny, także niewiele zostało. Po 25 latach tzw. wolnej Polski aparat organizacyjny, urzędniczy i gospodarczy państwa tkwi w egoistycznym marazmie i w bagnie korupcji. Znowu wszyscy widzą, że Polska jest rozkradana i... bezradnie rozkładają ręce. Znowu życiem społecznym rządzi strach przed władzą. Bo to ona może wyrządzić krzywdę... i w Warszawie, i w Łęborku, i w Pacanowie...

Odsunięcie od władzy skompromitowanej Platformy Obywatelskiej urasta dzisiaj do zadania najważniejszego; to coś w rodzaju dziejowego przymusu. Gdzie są jednak polskie elity, które udźwigną trud autentycznej (i bezinteresownej) reformy państwa, poczynając od zmiany Konstytucji, poprzez uporządkowanie gospodarki i finansów publicznych, a kończąc na reformie całego wymiaru sprawiedliwości oraz polskiej administracji i samorządności, dzisiaj rządzących się prawami zwykłego przekupstwa. Jako społeczeństwo tkwimy niestety w bagnie po uszy, bo zza każdego polskiego krzaka wyłazi tabun karierowiczów i zwykłych szulerów, którzy w oka mgnieniu przeistoczą się z uczestników afery hazardowej w „pryncypialnych” reformatorów i społecznych altruistów. Poeta wieszczyl, że „naród jak lawa...” tylko, że dzisiaj proporcje się odwróciły i nadano odwrotne znaczenie wartościom. Straciliśmy ostatnie 25 lat. I znowu nie jesteśmy przygotowani na przejście władzy... Bo nie ma dzisiaj w Polsce, na niezbędną dla tak dużego kraju skalę, elit i środowisk, które są uczciwe, suwerenne i republikańskie, i są gotowe tak proste wartości zaoferować samym sobie, czyli społeczeństwu.

Tajemnice III RP

Trzecią RP rządzą tajemnice. Wiele z nich sięga swoimi korzeniami czasów tzw. Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. I nadal pozostają tajemnicami. Bo żeby za daleko nie sięgać, czyż życiorysy takich „architektów” Okrągłego Stołu jak Jaruzelski i Kiszczyk zostały tak naprawdę rzetelnie prześwietlone? A FOZZ? A magdalenkowe knowania i libacje? Albo kulisy działań ministra Kozłowskiego (i Adama Michnika) w MSW i grzechy popełnione, niechybnie z premedytacją, przez pierwszych twórców Urzędu Ochrony Państwa?

Dlaczego Józef Szaniawski siedział w więzieniu aż do 22 grudnia 1989 roku? Kim był tajemniczy poseł OKP I kadencji Sejmu RP, którego o agenturalną działalność posadza tytułowy „ubek” z książki Bogdana Rymanowskiego. Czy wyrwane karty z akt sprawy Bolka nadal leżą w domu przy ulicy Polanki, czy przechowuje je agent Oscar?

Dlaczego do dzisiaj nie poznaliśmy, nie budzących wątpliwości szczegółów, dotyczących śmierci księży:

Popiełuszki, Suchowolca, Zycha albo, Bogu ducha winnych, Staszka Pyjasa, Grzesia Przemyska czy Marka Karpia. Tajemniczych, niewyjaśnionych zgonów mamy zresztą po 1989 roku znacznie więcej: Papąła, Lepper, Petelicki, Michniewicz, Muś, Olewnik... W ogóle w III RP „polityczny” trup słał się wyjątkowo gęsto, a agenturalny TVN tego (oczywiście) zdaje się nie dostrzegać! A symbolicznym zwieńczeniem, tajemnicą tajemnic pozostaje i chyba pozostanie na długie lata smoleński zamach. Jednak wraz z wyprawieniem na tamten świat 96 wysokich funkcjonariuszy III RP, w tym prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie nastąpiło uspokojenie. I tajemnic politycznych, często o kryminalnym zabarwieniu, zaczęło przybywać. Cały czas żyjemy na beczce prochu, tylko że prochem są nasze tytułowe tajemnice. Tajemnicze stały się niektóre nazwiska, bo jak Filip z konopi wystrzeliły przy tej czy innej okazji albo zostały wyciągnięte, jak królik z kapelusza, a to profesor „smoleński” z Kanady Paweł Artymowicz, a to minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz, żeby daleko nie szukać.

Jak żyć w państwie, które nie dopomina się o rozwikłanie własnych tajemnic? Oto jest pytanie! Politycy, sędziowie i prokuratorzy zawarli niepisany sojusz nie tylko z „seryjnym samobójcą”, ale także z seryjnym mordercą, a o Amber Gold coraz ciszej.

Jednak natłok nierozwikłanych tajemnic dnia politycznego i codziennego każe nam traktować to państwo, mówiąc eufemistycznie, z wielce ograniczonym zaufaniem.

Genezy tajemnicy trzeba szukać w kłamstwie. Kłamstwo i tajemnica w jednym stali domku; kłamstwo na górze, a tajemnica na dole.

Nie wiem, czy przychodzi czas przesilenia, jak w sierpniu 1980 roku. Nie ma jednak żadnej wątpliwości, że III RP nagrała sobie do syta i powinna odejść.

Powinniśmy wreszcie położyć kres tajemnicy. I to jest takie moje pobożne życzenie...

Agonia polskiej wsi

Reforma” samorządu terytorialnego z 1999 roku była gwoździem do trumny polskiej wsi, polskiej prowincji. Trumnę zaczął klecić Leszek Balcerowicz, uderzając w podstawy ekonomiczne chłopskich gospodarstw rolnych. I z zimną krwią zdemastował ich fundament materialny, także kulturowy, tj. samowystarczalność produkcji rolnej rodzinnych zagród wiejskich. Z pól i łąk zaczęły powoli znikać stada krów, owiec i kóz, a także pasieki. Trudno uświadczyć kopy siana i zniwne snopki. Wartością samą w sobie (potwierdzoną potem przez Unię) stało się ugorowanie ziemi, a po mleko, jajka, mąkę i mięso taniej i prościej można pójść do pobliskiego sklepu najpierw Gminnej Spółdzielni, a już niedługo potem sprywatyzowanego przez „kolegów królika”. Wkłady finansowe byłych spółdzielców rozeszły się oczywiście w szarej, gminnej strefie. W skali rozlicznych grabieży lat 90. XX w. ta jawi się jako detaliczna, to i nikt nie podniósł gwałtu, o rwetesie nie wspominając.

W oka mgnieniu na polskiej wsi upadł etos pracy, zwłaszcza, że społeczeństwo gremialnie zakupiło anteny satelitarne i telewizja Polsat (najpopularniejsza w Polsce B) zafundowała obywatelom nie tylko propagandowe łągarstwa, ale także ułudę dobrobytu z reklam, sitcomów i innego medialnego badziewia. Na dodatek w najbliższym mieście lub miasteczku upadły mniejsze lub większe zakłady przemysłowe i tzw. chłoporobotnicy, a była ich w Polsce armia, zostali odcięci nie tylko od naturalnych źródeł zarobkowania, ale także, jak za dotknięciem czarodziejskiej balcerowiczowskiej różdżki, zostały rozerwane społeczne więzi, które były w dużej mierze siłą karnawału Solidarności. Wielu mężczyzn wylądowało na zasiłkach i pod wiejskimi sklepami z piwem w dłoni, kobiety przestały piec chleb na liściach kapuścianych, grupa zaradniejszych kupiła sobie 15-20-letnie auta-rzęchy, blisko 40 procent tej populacji odwróciło się od Kościoła, poddając się antyklerykalnej propagandzie w stylu urbanowego „Nie” i paru innych gadzinówek. Z niedzielnego i odświętnego krajobrazu zniknęły regionalne, ludowe stroje (w enklawach pozostały jeszcze na Podhalu i na Kaszubach), bo ludzie chyba zaczęli się wstydzić swojej tradycji, uznając ją za wsteczniactwo i zabobon, a Europa w Polsce przecież taka piękna i nowoczesna.

Wesel, chrzcin i styp już prawie nikt nie organizuje we własnych domach. W tym celu zbudowano, jak Polska długa i szeroka, obrzydliwe Domy Weselne z jeszcze obrzydliwszym wystrojem, który Europy, co prawda, w ogóle nie

przypomina, ale stanowi schedę po real-socowym poczuciu odpustowej estetyki.

Jednak taki społeczny ugór trzeba było jakoś politycznie i organizacyjnie zagospodarować. I do dzieła zabrali się okrągłostołowi inżynierowie dusz. Władza centralna, która od początku, tj. od 1989 roku kręciła swoje aferalne lody, miała głęboko zakorzenioną świadomość, że tym na dole, powiedzmy od powiatu w dół, też się od życia coś należy. No to im dali ustawy samorządowe, które po pierwsze rozbuchały do granic wytrzymałości „zatrudnienie” w tzw. samorządach, zdjęły z tzw. samorządowców odium odpowiedzialności za podejmowane decyzje, stworzyły podstawy dla arogancji, nepotyzmu, korupcji i postawiły aparat samorządowy ponad szarym obywatelem, pozwalając, wśród powszechnej biedy, bezrobocia i zasiłków na piwo, zarabiać np. wójtom i burmistrzom po ok. 200 tysięcy złotych rocznie (o radnych też nie zapomniano). Słowem, stworzono system lokalnych sitw i koterii samorządowych, popieranых towarzysko i ekonomicznie przez wymiar sprawiedliwości (policjanci, prokuratorzy, sędziowie) i wszelkiej maści biznesmenów, którzy z układów z władzą „samorządową” czerpią materialne korzyści („przewalone” przetargi, zamówienia z wolnej ręki).

Nie zapomniano również o mediach, które stanowią właściwie „zbrojne” ramię miejscowych układów, układzików i kacyków. Urzędy gmin i miast, poprzez swoje, tzw. ośrodki kultury, wydają na potęgę gazety pławiące się w pochwałach dla przedstawicieli miejscowego establishmentu. Tu wstęga

do przecięcia, tam chodnik do oddania, oj jakże ciężko ten wójt pracuje dla wspólnego dobra, czyli słynne „łubu dubu, łubu dubu, niech nam żyje prezes klubu, niech żyje nam!” ze Stanisława Barei. Powstały też prywatne media, które żerują na publicznych pieniądzach, bo przecież „samorządy” mają swoje budżety promocyjne i komu, jak komu, ale gościowi, który złego słowa nie powie na miejscowego burmistrza, starostę czy wójta zawsze sypną nieco grosza – a kwoty idą gdziekolwiek w miliony złotych. Można przypuszczać, że pomysł powołania takich skorumpowanych, u zarania, mediów, zrodził się gdzieś na jakiejś libacji grup trzymających władzę w gminie lub w powiecie. W takich kwestiach nie ma przypadku i samowolki. Bo nikt z prowincjonalnej elity nie ma np. ochoty wydawać prywatnych pieniędzy na kampanię wyborczą, jeśli można to zrobić za pieniądze frajerów z naszej wioski czy miasteczka. Czy wiecie, jaką kwotę zadeklarował do rozliczenia po wyborach w 2010 roku komitet wyborczy burmistrza w mojej gminie? Ano, ok. 1200 zł i jeszcze ulotki wyborcze rozesłał pan burmistrz na koszt Urzędu Miejskiego. Żałosna kwota, ale za takie nędzne 1200 złotych można zdobyć posadę za ok. 200 tysięcy rocznego przychodu, nie licząc wszystkich dodatkowych apanaży.

Za tym i innymi burmistrzami stoją gminne media, które prowadzą kampanię wyborczą przez cały czas trwania kadencji. Jak chcecie zmienić takiego miejscowego kacyka; to jest prawie niemożliwe, a zatem rządzi już trzecią kadencję i będzie rządził dalej. Taki wybraniec narodu, polityk z krwi

i kości, bezwzględny aparatczyk (bardzo często z epoki minio-nej), prócz miejscowych mediów ma jeszcze jeden argument w rękę; zarządzanie przy pomocy strachu. Takie działania socjotechniczne ma w jednym palcu. Nikt albo prawie nikt się nie wychyli; ile to roboty przybruździ niepokornemu przy wsparciu policji, prokuratora czy urzędu kontroli skarbowej albo zarządzić postawienie znaku zakazu wjazdu na jedynej drodze dojazdowej do prowadzonej działalności gospodarczej.

Gminami w Polsce zarządza przede wszystkim kasta nauczycieli. Są piśmienni, mają dużo wolnego czasu i nosa do samorządowego interesu. To oni w III RP zwietrzyli, gdzie stoją na prowincji konfitury. Rady miast i gmin aż kipią od nauczycielskiego stanu. Poukładani, jak to się mówi w ich żargonie, z wójtami, burmistrzami i starostami dzielą i rządzą w imię oportunistycznego i prywatnego. Te nędzne wartości zaszczipiają oczywiście dzieciom w szkołach, jeśli przypadkiem nie obradują w gminie, jako nobliwi członkowie różnorodnych komisji czy biorąc udział w sesjach plenarnych. A ich wychowankowie jak dorosną, a przecież pojmą w lot, co to znaczy oportunizm i prywatę, podzielą się na trzy grupy: nieudaczników, którym się nic nie uda, bo dla wszystkich nigdy nie wystarczy konfitur i dotknie ich negatywna selekcja władzy, emigrantów, którzy wyjadą gdziekolwiek na zmywak i swojaków, którzy biorąc przykład ze swoich wychowawców, zasilą armię funkcjonariuszy publicznych, urzędników, samorządowców i biznesmenów, korzystających z dobrodziejstw koryta. Koło się zamyka. Ten podział zmaterializował się już dzisiaj. Emigrantów na

przykład mamy blisko 2,5 mln za granicą i drugie tyle tzw. „słoików” w dużych polskich miastach. Niedawno stwierdziłem, że ok. 20 procent unikalnych użytkowników mojego portalu „Gorlice i Okolice” klika w www.gorliceiokolice.eu w USA, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Francji, a nawet w Australii. Kim są ci internauci? Trudno uwierzyć, że jakimiś „nędzными” Gorlicami interesuje się Niemiec, Anglik czy Amerykanin. To oczywiste, że tymi unikalnymi użytkownikami są polscy emigranci, najczęściej z moich okolic. Jednak za 5 czy 10 lat i oni przestaną klikać i wracać wirtualnie do macierzy. Bo w realnej rzeczywistości nie mają już teraz do czego wracać.

Polskiej wsi, z jej tradycją, z jej etosem pracy, z jej kiedyś bezgranicznym oddaniem dla duchowego przeżycia katolicyzmu (choć w tej kwestii walka jeszcze trwa), z jej społecznym solidaryzmem, już prawie nie ma. I o paradoksie, większe szkody uczynił tej wsi europejski lewicowy liberalizm niż socywo PRL. Nie chcę być złym prorokiem, ale trendy, które starałem się symbolicznie opisać w tym tekście, mają już charakter trwały i raczej nieodwracalny.

A jeśli ktoś wierzy, że gdy PiS, jakimś cudem, dojdzie do władzy, to odwróci ten fatalny bieg rzeczy, wypada mi wyrazić głęboką wątpliwość. I jeszcze raz przywołam realia z mojego powiatu, typowe dla całego kraju. Otóż miejscowi posłowie i senatorowie z PiS są tutaj tak zblatowani z miejscową samorządową władzą, że o żadnej odmianie nie może być mowy. Senator Stanisław Kogut ze Stróż i posłanka Barbara Bartuś

z Gorlic nie wystąpią przeciwko miejscowemu establishmentowi władzy w żadnej sprawie, nie staną w obronie żadnego obywatela, jeżeli miałyby to oznaczać wojnę z tym czy innym burmistrzem z Komitetu Wyborczego Wyborców np. „Przyszłość”. Bo władza na prowincji poukładała się w imię trwania przy władzy w imię przyszłości, swojej, swoich dzieci, kuzynów i pociotków. To proste jak konstrukcja cepa. *A propos*, cepa nie widziałem już nigdzie od dobrych 25 lat. I trochę mi żal!

Zostanie po nas kostka bauma i głuchy drwiący śmiech pokoleń!

Glimar w Gorlicach – anatomia grabieży

Rafineria Nafty Glimar w Gorlicach powstała w 1883 roku i była jedną z najstarszych na świecie. Miała możliwość przerabiania około 3,5 tys. baryłek ropy dziennie.

Ta historia mogła wydarzyć się tylko w III RP. Szczegóły grabieży majątku Rafinerii Nafty Glimar w Gorlicach ciągle owiane są mgłą tajemnicy. I nie ma niestety wątpliwości, że kulisy upadku Glimaru – prawdopodobnie – nigdy nie ujrzą światła dziennego. Ten artykuł nie uzurpuje sobie prawa do weryfikacji pełnego stanu faktycznego złodziejskiego rozboju, którego dokonano w jednym z największych zakładów produkcyjnych powiatu gorlickiego, w najstarszej polskiej rafinerii ropy naftowej.

Przed laty, jeszcze w latach 90. XX wieku, jako właściciel małego, jednoosobowego przedsiębiorstwa, dokonywałem niewielkich zakupów parafiny w Glimarze. Ilekroć przyjeżdżałem do rafinerii, przed bramą stały cysterny

i samochody ciężarowe w oczekiwaniu na załadunek. A zakład tętnił życiem., tzn. wszędzie krzątali się pracownicy, a magazyny wypełnione były gotowymi do wyeksportowania produktami. Do cystern pompowano z terminali paliwa, a na platformy ciężarówek ładowano worki z parafiną czy z innymi woskami mineralnymi.

Afera Pollexu

Pierwszym sygnałem, że mafia, chyba nie tylko paliwowa, zagięła parol na gorlicką rafinerię, była afera w latach 1999-2001, dotycząca niezapłaconych faktur przez płocką firmę Pollex (na rzecz Glimaru) na kwotę ponad 42 milionów złotych. Smaczku sprawie dodawało członkostwo Marii Oleksy (żony byłego premiera i aparatczyka PZPR-u oraz współpracownika tajnych służb wojskowych wywiadu PRL-u Józefa Oleksego) w radzie nadzorczej płockiego Pollexu. Marię Oleksy oskarżono o składanie fałszywych zeznań, ale ostatecznie sprawę – oczywiście – umorzono. Józef Oleksy także „kolaborował” z Pollexem, korzystając z samochodu z kierowcą tej firmy w 2001 roku. Życie nie umierać. Oddzielny artykuł można by pewnie napisać o synu Marii i Józefa Oleksy Michale, którego także wieść gminna i prasowa zamieszała w czerpanie korzyści z płockiego, pollexowskiego układu.

Akt oskarżenia przeciw właścicielom płockiej spółki Pollex, podejrzanej o wyłudzenie z rafinerii Glimar w Gorlicach ponad 42 mln zł, prokuratura skierowała do sądu. Oskarżeni byli także dwaj pracownicy Glimaru. W sprawie tej zapadł

prawomocny wyrok skazujący Sądu Rejonowego w Gorlicach, sygn. II K 532/02, z dnia 29 kwietnia 2003 r.; 6 lat więzienia dla prezesa płockiej spółki Pollex Jacka R. i 5 lat dla jego zastępcy Krzysztofa K.

Na marginesie wypada przypomnieć, że Maria Oleksy nie pierwszy raz „wdepnęła” w aferalne szambo. Jej nazwisko (obok nazwiska byłej Pierwszej Damy Jolanty Kwaśniewskiej) pada również przy okazji zbankrutowanego towarzystwa ubezpieczeniowego Polisa. Dzisiaj o Marii Oleksy cicho w przestrzeni medialnej. Syn Michał znalazł pewnie gdzieś spokojną przystań, a ojciec Józef bryluje w mediach i na salonach, głównie w TVN.

Ogłoszenie upadłości

W 2008 roku Polska Agencja Prasowa ogłosiła następujący komunikat:

Rafineria Glimar S.A. w Gorlicach w województwie małopolskim zostanie prawdopodobnie postawiona w stan likwidacji. W poniedziałek akcjonariusze spółki zdecydowali, że uchwala w sprawie rozwiązania spółki i otwarcia likwidacji będzie głosowana na następnym WZA.

„Po zaprezentowaniu przez zarząd informacji o sytuacji spółki WZA podjęło uchwałę kierunkową, z której wynika, że zarząd spółki niezwłocznie zwoła kolejne WZA, którego przedmiotem będzie podjęcie uchwały w przedmiocie rozwiązania spółki i otwarcia jej likwidacji” – poinformował PAP prezes rafinerii Łukasz Jagodziński.

Według niego, główny akcjonariusz – Grupa Lotos SA – ocenił, że należy rozważyć zakończenie bytu prawnego gorlickiej spółki.

Grupa Lotos SA posiada 91,5 proc. akcji Rafinerii Glimar, 2,1 proc. znajduje się w rękach Skarbu Państwa, a resztę mają byli i obecni pracownicy.

W marcu tego roku sąd wydał postanowienie o umorzeniu postępowania upadłościowego Rafinerii Glimar. W toku trwającego ponad 1,5 roku postępowania upadłościowego nie udało się pozyskać nabywcy na majątek rafinerii po cenie nawet dużo niższej od oszacowanej.

Glimar jest winny ponad 1000 wierzycielom ponad 800 mln zł. Wartość pozostałego majątku rafinerii szacowana jest na około 350 mln zł.

Syndyk m.in. trzykrotnie bezskutecznie próbowała sprzedać najważniejszą część majątku upadłej Rafinerii Glimar, czyli niedokończoną instalację hydrokompleksu. Ostatnia minimalna cena wynosiła 180 mln zł netto. Pierwotna cena za instalację była równa kwocie oszacowania tego majątku, wynoszącej 326 mln zł.

Ciekawy komunikat. Zwróćmy uwagę, że od czasu afery Pollexu w majątek gorlickiego Gimaru zamieszany był nie tylko Skarb Państwa, tj. Nafta Polska, ale także od lutego 2005 roku Grupa Lotos S.A.

Cóż takiego wydarzyło się w pierwszych latach XXI w. w Glimarze, że już w 2008 roku najstarszą polską rafinerię trzeba było postawić w stan likwidacji? Oddajmy głos pro-

kuratorowi krajowemu Edwardowi Zalewskiemu, który, odpowiadając 6 maja 2009 roku na interpelację poselską Barbary Bartuś (PiS) w sprawie Glimaru i śledztwa prowadzonego przez prokuraturę, stwierdził m.in.:

Postępowanie to w głównym wątku dotyczy niedopełnienia obowiązków oraz przekroczenia uprawnień przez członków władz spółki Rafinerii Nafty Glimar S.A. przy planowaniu i realizacji inwestycji hydrokompleks służącej do produkcji rozpuszczalników oraz olejów, poprzez nieuwzględnienie w projektach szeregu niezbędnych nakładów, w tym nakładów na instalacje dodatkowe, bez których niemożliwe było uzyskanie finalnych produktów, nakładów wynikających z planowanych zadań towarzyszących wykonywanych przez Rafinerię Nafty Glimar S.A. w ramach tej inwestycji i oparcie tych nakładów na przyszłych dochodach wynikających z ulg podatkowych, zaniechanie sporządzenia jednoznacznych założeń dotyczących zapewnienia surowca niezbędnego do produkcji, opracowania analiz zagrożeń wynikających z wielkości nakładów inwestycyjnych oraz zaciągniętych kredytów w stosunku do kapitałów własnych, analiz potencjalnych cen rynkowych produktów, analiz co do sposobu rozwiązania problemów logistycznych i transportowych, co doprowadziło do pogorszenia sytuacji ekonomiczno-finansowej spółki, a w konsekwencji do jej upadłości, tj. o przestępstwo z art. 296 § 3 K.k.

Równocześnie w tym śledztwie wyjaśniane są wątki dotyczące niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przez członków władz spółki Rafineria Nafty Glimar S.A.

w Gorlicach, poprzez podejmowanie decyzji inwestycyjnych, handlowych, remontowych związanych z budową Zakładu Produkcji Pasz i Bioetanolu Agro-Glimar spółka z o.o., budową trzech stacji paliw, remontem centrum konferencyjno-hotelowego w Wysowej, jak również zawieraniu niekorzystnych umów gospodarczych z firmami Krak-Gaz w Krakowie, Produkcja Rolna w Bogdańczowicach, GAL w Krakowie, w których członkowie zarządu posiadali udziały, oraz innymi firmami z terenu Gorlic.

Dotychczas zarzuty popełnienia przestępstw z art. 296 § 3 K.k., polegających na nadużyciu udzielonych uprawnień i niedopełnienia ciężących obowiązków przy podejmowaniu decyzji dotyczących realizacji kompleksu instalacji produkcyjnej hydrokompleks oraz prowadzonych równolegle inwestycji: budowy gorzelni w Kobylance, modernizacji i rozbudowie ośrodka wypoczynkowo-sanatoryjnego Chemik w Wysowej, stacji paliw w Białymstoku oraz doprowadzenia do zawarcia niekorzystnych umów handlowych z podmiotami gospodarczymi współpracującymi z rafinerią, przedstawiono 4 członkom pierwszego zarządu Rafinerii Nafty Glimar SA i wykonano z ich udziałem czynności procesowe.

Hydrokompleks

Budowa tzw. hydrokompleksu to był prawdziwy gwóźdź do trumny dla Rafinerii Nafty Glimar. Minister Skarbu Państwa w rządzie Prawa i Sprawiedliwości Wojciech Jasiński tak oto (w 2006 roku) informował o przyczynach upadłości Glimaru:

Upadłość Rafinerii Nafty Glimar S.A. w Gorlicach, obejmującą likwidację majątku Spółki, Sąd Rejonowy w Nowym Sączu ogłosił 19.01.2005 r. Upadła Spółka w dniu ogłoszenia upadłości nie prowadziła działalności produkcyjnej, w zatrudnieniu pozostawało 431 pracowników. Zobowiązania Spółki wynosiły 814.229.425,46 zł, w tym kredyty bankowe 416.550.985,75 zł. Majątek objęty przez syndyka został oszacowany na kwotę 575.701.051,89 zł, z główną jego częścią, niedokończoną inwestycją, w wysokości 422.670,647 zł poniesionych nakładów.

Hydrokompleks miał kosztować, według jednych szacunków 550 milionów złotych, według innych aż 700 milionów. Z odsetkami od kredytów bankowych zaciągniętych w bankach i zabezpieczeniem majątku niedokończonej inwestycji całkiem spokojnie możemy mówić o kosztach rzędu 1 miliarda złotych.

Sprawa Glimaru była jednak jeszcze bardziej skomplikowana. Oto Łukasz Rędziniak, podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, odpowiadając 4 sierpnia 2008 roku na sejmową interpelację Barbary Bartuś (PiS) i Andrzeja Dery (PiS) oświadczył:

Masa upadłości Rafinerii Nafty Glimar S.A. w Gorlicach nie stanowiła jednorodnej całości, przyporządkowanej jednemu rodzajowi działalności gospodarczej. W jej skład wchodziły: nieruchomości, na których prowadzono działalność produkcyjną (polegającą na przerobie ropy naftowej), nieruchomości, na których realizowano inwestycję instalacji

hydrokompleks, a także mieszkania, ogródki działkowe, stacje paliw, gorzelnia, niezabudowane działki budowlane i inne nieruchomości, a ponadto ruchomości i udziały w spółkach, w tym 9.059 udziałów w spółce Centrum Konferencyjno-Hotelowe Glimar Spółka z o.o. w Wysowej, wpisanej do rejestru przedsiębiorców w Krajowym Rejestrze Sądowym pod numerem KRS 0000136747. Wartość nominalna udziałów wynosiła 9 059 000 zł. Udziały te stanowiły 100% kapitału zakładowego spółki. Objęte one były zastawem rejestrowym na rzecz Banku Pekao S.A. (w związku z przeniesieniem części majątku Banku BPH SA na Bank Pekao S.A.) wpisanym do rejestru zastawów prowadzonym przez Sąd Rejonowy dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie Wydział VII Rejestru Zastawów pod nr 1013705. Wnieiony przez Glimar aportem do spółki majątek stanowiący własność i prawo użytkowania wieczystego nieruchomości o pow. 3,56 ha wraz z odrębnym prawem własności cztero-kondygnacyjnego budynku hotelowo-rekreacyjnego z wyposażeniem i obiektami towarzyszącymi, obciążony był hipoteką kaucyjną łączną ustanowioną na rzecz Banku Peako S.A. (w związku z przeniesieniem części majątku Banku BPH SA na Bank Pekao SA w Warszawie) do kwoty najwyższej 116 900 000 euro, Bayerische Hypo-Und Vereinsbank AG w Monachium do kwoty najwyższej 100 000 000 euro oraz Kredyt Bank S.A. w Warszawie do kwoty najwyższej 33 000 000 euro. Spółka została utworzona w październiku 2002 r. na bazie organizacyjnej istniejącego Sanatorium Uzdrowskiego Chemik Rafinerii Nafty Glimar SA. Podstawowym przedmiotem działania

spółki była sprzedaż usług hotelowych zarówno dla odbiorców indywidualnych, jak i zorganizowanych grup oraz organizowanie konferencji z wykorzystaniem obiektu konferencyjno-hotelowego dysponującego 136 miejscami noclegowymi. Spółka zatrudniała 19 osób.

Zwróćcie Państwo uwagę, które banki zaangażowane były w „interesy” Glimaru. A jeśli dodamy do tego firmy, które realizowały na przykład budowę hydrokompleksu, tj. Lurgi S.A. i Lurgi Aktiengesellschaft, nie powinniśmy mieć właściwie najmniejszych wątpliwości, o co chodziło w całej tej sprawie. Afera Pollexu za 42 miliony złotych, to była tylko bułka z masłem i wyglądała jak przygotowanie do prawdziwego skoku na wielką kasę. Od 2001 roku gra w Glimarze toczyła się naprawdę o dużo większą stawkę. I tych 600 czy nawet 800 pracowników Glimaru (plus rodziny) nie stanowiło dla europejskiej mafii żadnego zagrożenia. Wiadomo było, że o gorlickie rodziny i tak nikt się nie upomni. Mogą wegetować nad rzeką Ropą...

Ostatecznie inwestycja w hydrokompleks Glimar Gorlice padła. Bo musiała paść. Tak to sobie wymyślono, żeby „wyprać” kilkaset (!!!) milionów euro. W pewnym momencie banki odmówiły kredytowania budowy „jedynego kompleksu wodorowego” w polskim przemyśle. To znaczy najpierw banki (kapitał włoski i niemiecki) wyłożyły setki milionów złotych, a potem uznały, że można je spisać, ot tak po prostu, na straty. Przy okazji okradziono również Glimar, który użyczył swojego majątku, pracowników, tradycji i historii do przykrycia największego przekrętu w historii Ziemi Gorlickiej.

Prokurator wkroczył jednak do akcji:

Śledztwo o sygn. V Ds. 12/09 wszczęto postanowieniem z 2 lutego 2005 r. w sprawie niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przy realizacji inwestycji hydrokompleks przez członków zarządu Rafinerii Nafty Glimar S.A. z siedzibą w Gorlicach, tj. o czyn. z art. 296 § 1 i 3 K.k.

Zawiadomienie o przestępstwie zostało złożone w piśmie z dnia 24 listopada 2004 r. przez prezesa zarządu Nafty Polskiej, oraz w piśmie z dnia 3 lutego 2005 r. przez członków zarządu Rafinerii Nafty Glimar S.A.

Jednak dopiero w 2010 roku „Gazeta Krakowska” publikuje następującą relację:

Akt oskarżenia wraz z uzasadnieniem to lektura, która u czytającego może wywołać dreszczyk emocji. Strona po stronie, zdanie po zdaniu poznajemy historię powstania inwestycji, która w zamyśle miała być kurą znoszącą złote jajka. Hydrokompleks – specjalistyczna instalacja do produkcji rozpuszczalników benzynowych, naftowych i tak zwanych olejów bazowych, skok technologiczny wyprzedzający swoją epokę. Wówczas, a była połowa lat 90. takie instalacje w skali świata można było policzyć na palcach. Przecież z ropy naftowej można robić wszystko – od składników farb i lakierów po leki, kosmetyki. Trzeba tylko znać technologię i mieć do tego urządzenia. Dla Glimaru rysowała się więc świetlana przyszłość.

Dzisiaj wokół hydrokompleksu porasta wysoka trawa. Czy instalacja kiedykolwiek rozpocznie pracę?

Na tym nie koniec. Po ogłoszeniu upadłości w styczniu 2005 roku instalacja miała być magnesem, który szybko przyciągnie inwestorów, którzy postawią upadłą spółkę na nogi. Tak się jednak nie stało, bowiem syndykowi nie udało się jej sprzedać. Najpierw inwestycję wyceniono na 326 mln złotych, potem na połowę mniej. Mimo to chętny się nie znalazł.

Projekt inwestycji zakładał, że proces technologiczny zostanie opracowany przez firmę Chevron, zaś generalnym wykonawcą prac przy projekcie miała być niemiecka firma Lurgi. Glimar miał być odpowiedzialny za przygotowanie terenu, zbiorników magazynowych, połączeń pomiędzy obiektami.

Prokuratura prowadziła swoje działania, chociaż mało kto w Polsce interesował się jakąś zupełnie nieistotną sprawą upadłości rafinerii w Gorlicach. Kogo tam w Pacanowie, Pcimiu lub Lęborku mogą obchodzić jakieś Gorlice... Tam mają swoje problemy!

30 czerwca 2010 roku Prokuratura Okręgowa w Krakowie skierowała do Sądu Okręgowego w Nowym Sączu akt oskarżenia przeciwko 10 osobom oskarżonym o działanie na szkodę Rafinerii Glimar w Gorlicach oraz pranie pieniędzy pochodzących z przestępstwa. Osoby te to byli członkowie zarządu i pełnomocnicy rafinerii. Działanie ich polegało na zawieraniu niekorzystnych umów związanych z wynajmowaniem powierzchni magazynowych od firm zewnętrznych celem prowadzenia produkcji paliwa, a następnie sprzedaż tak wyprodukowanego paliwa po zaniżonych cenach. Z tego tytułu otrzymywali oni łapówki w wysokości od 5 do 50 złotych

za tonę produktu, co przysporzyło korzyść majątkową nawet 2 mln złotych dla jednej osoby. Oskarżone zostały również osoby pośredniczące we wręczaniu łapówek oraz przedstawiciele firm kooperujących, którym przedstawiono zarzuty prania brudnych pieniędzy i poświadczania nieprawdy w dokumentach. Szacowana wartość strat rafinerii to co najmniej 70 mln złotych. Na poczet kar majątkowych i obowiązku zwrotu korzyści pochodzących z przestępstwa zabezpieczono mienie o wartości około 1 mln złotych. Jest to kolejny akt oskarżenia w tzw. „sprawie paliwowej”, prowadzonej poprzednio przez Prokuraturę Apelacyjną w Krakowie, zakończony w tym wątku przez Prokuraturę Okręgową Wydział V Śledczy we współpracy z ABW Delegatura w Krakowie.

Jak widać przy okazji hydrokompleksu wyszły inne nadużycia. Bo przestępcza walka o Glimar trwała nadal. Tam, w Gorlicach, musiał być nieprawdopodobny potencjał, albo, chichotem historii, nagle jakaś zupełnie nieznacząca firma (czytaj Glimar) stała się miejscem walki o miliony euro? Jak do tego doszło? Dlaczego? Oto jest właściwe pytanie!

„Seryjny samobójca” w Gorlicach

W relacji z tej ponurej historii brakuje wielu ważnych elementów. Jeden z nich ujawnia w swojej interpelacji do ministra sprawiedliwości posłanka Barbara Bartuś (PiS):

Pod koniec stycznia 2009 r. do zbadania procesu upadłościowego (w Glimarze – przyp. M.R.) została skierowana kontrola Najwyższej Izby Kontroli. Oddelegowany z Krakowa

inspektor zamieszkał w odległej od Gorlic o ok. 20 km miejscowości. Po upływie około miesiąca od przyjazdu inspektor został znaleziony martwy. Dyrektor oddziału NIK w Krakowie zapewnia, że było to samobójstwo z przyczyn osobistych i nic z materiałów inspektora nie zginęło, ponieważ, jak zrozumiałam, „zadzwonął do prezesa rafinerii i ten zabezpieczył wszystkie materiały”. W odniesieniu do powyższego kluczowe wydają się pytania, czy obecny prezes rafinerii posiada certyfikat dostępu do danych operacyjnych NIK, a nadto, jakie przesłanki pozwalają sądzić, że przekazane materiały stanowią wszelkie analizowane dokumenty i wyciągnięte z nich konkluzje.

Pani poseł Barbara Bartuś pyta bardzo celnie, ale prokurator krajowy Edward Zalewski nie jest w stanie uchylić rąbka tajemnicy, gdy odpowiada posłance Bartuś w imieniu ministra sprawiedliwości:

Śledztwo w sprawie nagłego zgonu E. B. – funkcjonariusza Najwyższej Izby Kontroli, którego zwłoki ujawniono 25 lutego 2009 r., prowadzone jest w Prokuraturze Rejonowej w Gorlicach pod sygn. Ds. 372/09.

Postępowanie to nie zostało dotychczas zakończone, stąd co najmniej przedwczesne byłoby obecnie formułowanie wniosków dotyczących ewentualnego udziału innych osób w spowodowaniu śmierci pokrzywdzonego. W sprawie nadal wykonywane są bowiem czynności zmierzające do wszechstronnego wyjaśnienia wszystkich istotnych okoliczności, w tym również w zakresie ewentualnego związku śmierci E. B. z jego pracą w Najwyższej Izbie Kontroli.

Z opinii Zakładu i Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wynika, że przyczyną śmierci pokrzywdzonego było powieszenie, a na ciele zmarłego nie stwierdzono śladów wskazujących na udział osób trzecich.

Skąd my to znamy. Iluż takich aktów samobójczych byliśmy świadkami w ostatnich latach w Polsce. Smaczku całej historii dodaje kolejne oświadczenie prokuratora krajowego z tego samego pisma z 6 maja 2009 roku:

Kwestia niedopełnienia obowiązków przez syndyka masy upadłościowej Rafinerii Nafty Glimar S.A. jest przedmiotem wszechstronnego wyjaśniania w toku wielowątkowego śledztwa o sygn. V Ds. 50/08 prokuratora okręgowego w Nowym Sączu, o którym informacje przedstawiono w ramach odpowiedzi na pytanie sformułowane w punkcie 1 interpelacji pani poseł Barbary Bartuś. Opisane wcześniej śledztwo o sygn. V Ds. 50/08 prokuratora okręgowego w Nowym Sączu, obejmujące okres działalności syndyka upadłości Rafinerii Nafty Glimar S.A. od 19 stycznia 2005 r. do 11 marca 2008 r., prowadzone jest w sprawie i nie weszło dotychczas w fazę ad personam, czyli przeciwko określonej osobie.

Pozostawiam te dwie kwestie bez komentarza. Być może nie mają one ze sobą nic wspólnego. Być może!!!

Hudson Oil Corporation

Hydrokompleks padł. Glimar padł, setki milionów złotych strat, samobójstwo (?) inspektora NIK-u, 600 zwolnionych

pracowników, rodziny gorlickie liżą rany, akty oskarżenia w sądzie, a tu nagle okazało się, że najstarszą polską rafinerię kupuje pod koniec 2008 roku firma Drogbud ze Strzyżowa.

Spróbujmy teraz uporządkować nasz wywód. Glimar od początku był własnością Skarbu Państwa. Pollex wkroczył i „przekręcił” Glimar na 42 miliony złotych. Przez Skarb Państwa powołana spółka Nafta Polska sprzedała Glimar Grupie Lotos S.A. Grupa Lotos S.A. (zarządziła hydrokompleks) po ogłoszeniu upadłości spółki w 2008 roku sprzedała Glimar firmie Podkarpacki Holding Budowy Dróg Drogbud (za 1 milion złotych). Podobno firma Drogbud zamierzała uruchomić w Glimarze produkcję asfaltów na swoje potrzeby. Na bazie majątku upadłej gorlickiej rafinerii powołano firmę Hydronaft Sp. z o.o.

Drogbud przeliczył się jednak z siłami albo od początku miał inne zamiary i 6 czerwca 2011 roku sprzedał Glimar firmie Hudson Oil Corporation, ale nie wiadomo, za ile. Ta sprzedaż musiała być jednak obciążona licznymi wadami, ponieważ już niedługo doszło do gwałtownego konfliktu pomiędzy stronami tej transakcji. O czym za chwilę!

I ciągle nie zbliżamy się do końca tej historii. Można zadać kolejne pytanie. Czy Glimar był tylko pionkiem w większej grze? Nowy właściciel – kanadyjska spółka Hudson Oil Corporation – podobno zamierzała uruchomić nieczynne od ponad trzech lat instalacje. Prezesem Hudson Oil był Wojciech Janowski, członek Krajowej Izby Gospodarczej oraz konsul honorowy w Monako.

– Cieszymy się bardzo zarówno ze względu na możliwość ponownego uruchomienia rafinerii i zwiększenia zatrudnienia w Gorlicach, ale również ze względu na technologiczne możliwości zakładu – mówił pan konsul Janowski po finalizacji przejęcia.

Kwota, za jaką Hudson Oil kupił Glimar nie została ujawniona. Wiadomo jednak, że Drogbud kupił zakład od Lotosu za milion złotych, czyli znacznie poniżej rynkowej wartości, która była wyceniana na kilkaset milionów złotych.

Kluczowym aktywem rafinerii jest niedokończony jeszcze hydrokompleks, służący do wytwarzania m.in. nafty, rozpuszczalników, olejów bazowych oraz gotowych olejów specjalnych dla przemysłu i motoryzacji. Hudson Oil, jak wynikało z oświadczeń Janowskiego chciał, przy wykorzystaniu hydrokompleksu, w procesie gazyfikacji produkować w Gorlicach paliwa syntetyczne.

Wątek hydrokompleksu ciągle pojawia się w enuncjacjach prasowych. To był znakomity argument marketingowy. Glimar miał być potęgą, chociaż już dawno zbankrutował. Ale zamieszanie własnościowe w Glimarze trwało nadal. Rafinerii właściwie już nie było, o długach w sprawie hydrokompleksu pies z kulawą nogą też się nie odzywał. Prokuratura grzęzła w wielowątkowych aktach śledztwa. Jednak Glimar ciągle jawił się łakomym kąskiem dla finansowych mafiosów. Oto kolejne prasowe doniesienie z 2 sierpnia 2011 roku:

Cieszymy się bardzo zarówno ze względu na możliwość ponownego uruchomienia rafinerii i zwiększenia zatrudnie-

nia w Gorlicach, ale również ze względu na technologiczne możliwości zakładu – skomentował dla branżowego portalu Wojciech Janowski, prezes Hudson Oil Corporation, firmy będącej nowym właścicielem Glimaru.

Hudson Oil planuje uruchomienie hydrokompleksu i produkcję paliw syntetycznych

Kilka dni temu rafineria została sprzedana. Dzisiaj Glimar jest w rękach kanadyjskiej spółki Hudson Oil Corporation. Z informacji na stronie internetowej dowiadujemy się, że to firma na etapie rozwoju, której głównym atutem jest kompleks rafineryjny w Gorlicach.

We wtorek w Warszawie mają zostać uzgodnione ostatecznie szczegóły, a oficjalne przejęcie ma nastąpić jeszcze w tym tygodniu. W tym tygodniu również mają zostać wyrównane wszelkie zaległości, zarówno wobec pracowników, jak i ZUS-u, urzędu skarbowego, kontrahentów.

Jak się dowiedzieliśmy, jednym z warunków przejęcia jest to, by zakład nie miał żadnych zobowiązań. Wiemy również, że firma ma doświadczenie w branży paliwowej, dostęp do surowca oraz licencje i patenty na produkcję paliw. Plany nowego właściciela są znacznie ambitniejsze – właściciel chce wykorzystać hydrokompleks i w procesie gazyfikacji produkować w Gorlicach paliwa syntetyczne.

Na czele firmy Hudson Oil stał wówczas wspomniany już Wojciech Janowski. Towarzyszyli mu w zarządzaniu Stefan Garus, Paul McIvor oraz Urszula Majorkiewicz. Wyżej

wymienieni nie udzielali żadnych szczegółowych informacji, zasłaniając się tajemnicą handlową.

Detektyw Rutkowski wkracza do akcji

Jako się rzekło, transakcja pomiędzy Drogbudem i Hudson Oil nie została ostatecznie skonsumowana. W styczniu 2012 roku (10.01.2012 r.) na teren rafinerii wkroczyło 200 ochroniarzy z detektywem Krzysztofem Rutkowskim na czele. Działali w imieniu Grzegorza Wojtaszka, szefa Drogbudu, który w wydanym lakonicznym oświadczeniu stwierdził, że Hudson Oil nie dopełnił uzgodnionych warunków umowy i nie może rościć sobie praw do spółki Hydronaft, spadkobierczyni rafinerii Glimar. Zaś interwencja oddziałów Rutkowskiego ma zabezpieczyć interesy prawowitego właściciela, tj. Drogbudu.

Po interwencji Rutkowskiego w Glimarze zapadła głucha cisza. Hudson Oil i Wojciech Janowski zamilkli. O sprawie media zapomniały na długie 2 lata. Spór pomiędzy Drogbudem i Hudson Oil przeniósł się na sale sądowe. Ostatecznie 8 maja 2014 roku Sąd Apelacyjny w Krakowie w sprawie z powództwa Grzegorza i Marka Wojtaszków wydał wyrok korzystny dla przedsiębiorców ze Strzyżowa. Hydronaft sp. z o.o. (dawny Glimar) ponownie prawnie stała się własnością Grzegorza Wojtaszka (3049 udziałów) oraz Marka Wojtaszka (4800 udziałów). Sąd w uzasadnieniu podkreślił, że Hudson Oil nie wywiązał się skutecznie z umowy z Drogbudem i nie przekazał na rzecz Grzegorza Wojtaszka 3 mln akcji Hudson Oil na kwotę 30 mln dolarów.

Honorowy konsul w Monako Wojciech Janowski

Prezes Hudson Oil Corporation Wojciech Janowski. W sieci można znaleźć na jego temat wiele bardzo ciekawych i znaczących informacji. W świecie biznesu pan konsul był znaną postacią. Współwłaściciel kilku firm i współpracownik... Krew z krwi, kość z kości elit III RP. Członek Krajowej Izby Gospodarczej, od 2009 roku wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej Unii Gospodarczej Samorządowych Funduszy Pożyczkowych Samorządowa Polska. A także przez kilka lat konsul honorowy RP w Monako.

Media podkreślały również jego zaangażowanie w działalność charytatywną. Za tę działalność, w tym dla Polskiej Misji Katolickiej we Francji oraz fundacji na rzecz dzieci z autyzmem, w maju 2010 roku otrzymał nawet odznaczenie od prezydenta Francji.

Ważny gość. Dlatego wszedłem na stronę Samorządowych Funduszy Pożyczkowych Samorządowa Polska. I co się okazało. Wojciech Janowski był wiceprzewodniczącym tamtejszej Rady Nadzorczej Unii Gospodarczej (zob. www.samorzadowa-polska.eu) i miał w tej organizacji całkiem niezłe towarzystwo, np. Aleksandra Kwaśniewskiego, Krzysztofa Janika, Jacka Piechotę, Andrzeja Śmietanko (ten od Elewaru), Jerzego Buzka i paru innych słynnych działaczy i polityków, dla których Polska to jest wielka dziejowa misja.

Ale tak sobie tylko bajdurzę, bo przecież z Glimarem nie ma to żadnego związku. Tylko jeden trup, 600 bezrobotnych,

1 miliard złotych zysku, albo strat, jak kto woli.

Z Glimarem mogą natomiast mieć związek zupełnie inne wydarzenia!

Śmierć Helene Pastor

W Nicei, 6 maja 2014 roku, została śmiertelnie raniona strzałami z pistoletu 77-letnia milionerka Helene Pastor, właścicielka 15 procent nieruchomości w Księstwie Monako. Jej majątek oceniany jest na ok. 19 mld euro. Długoletnią towarzyszką życia konsula Janowskiego była (i jest?) 53-letnia Sylwia Ratkowski-Pastor, córka Helene. Otrzymała ona od matki miesięczne uposażenie w wysokości 500 tys. euro. Policja monakijska oskarżyła Wojciecha Janowskiego o zlecenie zabójstwa i aresztowała. Aresztowana została także konkubina konsula. W czerwcu 2014 polski MSZ pozbawił Janowskiego honorowej funkcji. Jak doniosła francuska gazeta „Le Parisien”, Janowski był zadłużony na blisko 9 milionów euro i jak ustaliła policja, polski dyplomata i biznesmen winny był także 30 mln dolarów w związku z zakupem Rafinerii Glimar w Gorlicach. Trwają spekulacje dotyczące motywów zlecenia morderstwa. Janowski początkowo przyznał się do zlecenia morderstwa, jednak w toku toczącego się śledztwa odwołał pierwotne zeznania. Trudno oczekiwać rychłego wyroku w tej mrocznej historii.

Glimar, F-16 i Rosjanie

Po co Janowskiemu był Glimar? Tak dokładnie nie wiadomo.

Bez wątpienia gorlicka rafineria stała się areną działań różnych mafijnych interesów. Najpierw względnie małych przekrętów z firmą Pollex w tle, a potem większej akcji, dla której przykrywką propagandową był mityczny hydrokompleks. Nie wolno zapominać, że kredyty na hydrokompleks zaciągane były przede wszystkim w Banku Pekao S.A. Straty Glimaru w aferze hydrokompleksu wyniosły bez mała 1 mld złotych. To, jak na polskie warunki, wcale pokaźna suma. Kredyty nie zostały spłacone, a hydrokompleks rozplynał się w gorlickiej mgłę. Czy Glimar był częścią tzw. „Projektu Chopin”, do dzisiaj niewyjaśnionej afery włoskiego banku Unicredit, właściciela Pekao S.A.?

Znany polski dziennikarz Witold Gadowski stawia też inne tezy. Oto fragmenty artykułu opublikowanego na łamach tygodnika „wSieci”.

Rosyjska pętla?

Kilku moich informatorów twierdzi, że tym, co zdeterminowało Janowskiego do planowania skoku na fortunę (ok. 20 mld euro) matki swojej życiowej towarzyszkii (tj. Heleny Pastor – przyp. M.R.) był... zakup rafinerii Glimar w Gorlicach. Rafineria Glimar w czasie jej zakupu przez firmę Janowskiego była w stanie upadłości, miała prawie 800-milionowe długi i mocno obciążała konto swojego właściciela, Grupy Lotos. Zatem kiedy pojawił się prezes firmy Drogbud, niejaki Wojtaszek, Lotos z ulgą sprzedał gorlicką rafinerię. Drogbud szybko jednak odsprzedał firmę. W 2011 roku rafineria została prze-

jęta przez tajemniczą kanadyjską firmę Hudson Oil. W Gorlicach w charakterze wiceprezesa Hudson Oil rządu rozpoczął Arkadiusz K., wieloletni szef państwowej Agencji Rozwoju Przemysłu, a później członek rad nadzorczych Grupy Boryszew i należącego do Romana Karkosika Impexmetal. Przy bliższym sprawdzeniu okazało się jednak, że pierwsze skrzypce w Hudson Oil gra... Wojciech Janowski.

Spółkę celowo założono w Kanadzie, aby nadać jej jak największe pozory wiarygodności.

– Zrobili prosty numer. Przedstawili papiery mówiące o ich doskonałej kondycji finansowej oraz o notowaniu na giełdzie we Frankfurcie. Tymczasem makler Commerzbanku przelał wcześniej na konto Hudson Oil znaczne środki. Stało się to „omyłkowo”. Pieniądze jednak były na koncie Hudson Oil na tyle długo, że właściciele firmy otrzymali stosowne dokumenty z pięknymi pieczętkami. Makler miał potem proces sądowy i nawet znaleziono ślady wiodące go do znajomości z ludźmi z Hudson Oil. Podobno wylecieli z niemieckiej giełdy – opowiada informator związany z polską branżą paliwową.

To jednak nie koniec kłopotów Wojciecha Janowskiego.

Proszący o bezwarunkową anonimowość informatorzy mówią, że pomysł kupienia Glimaru był obliczony na szybki zarobek. Rafineria, obok już bardzo przestarzałych technologii, jakimi dysponuje, ma jednak jedną linię produkcyjną, która – po bardzo niewielkich adaptacjach – może produkować... paliwo lotnicze do myśliwców F-16. Janowski wymyślił więc,

że sprzeda firmę Rosjanom. Rychło też znaleźli się kupcy. Janowski nie miał jednak pieniędzy na dokończenie transakcji. Rosjanie naciskali, nie pozostało nic innego, jak udać się po pieniądze do „teściowej” Helen Pastor, a skoro ta nie chciała już finansować interesów swojego przyszłego zięcia...

Przed szpitalem w Nicei pojawili się dwaj bandyci strzelający z obrzynów. Narastająca spirala długów, zobowiązania wobec Rosjan, pętla zaczęła się zaciskać.

A mógł być Kuwejt w Gorlicach

Wątek rosyjski w artykule Gadowskiego warto kontynuować. Oto w samym środku konfliktu na Ukrainie, jak podała Polska Agencja Prasowa, niemiecki koncern energetyczny RWE postanowił sprzedać cztery koncesje na poszukiwanie ropy i gazu w Polsce. W Polsce, czyli nigdzie... ale to nie jest takie proste. Jak się można bowiem doczytać, te cztery koncesje obejmują złoża na Podkarpaciu, a ściślej w gorlickim, nowosądeckim i limanowskim. Koncesje kupuje rosyjska grupa inwestycyjna Alfa, której pakiet kontrolny posiada Michaił Fridman, rosyjski oligarcha, zausznik Władimira Putina, jeden z najbogatszych ludzi na świecie. A za ile pan Fridman kupuje koncesje na poszukiwanie gazu i ropy w okolicach Gorlic, Nowego Sącza i Limanowej? Ano za 7 miliardów dolarów – i to nie jest żart. Nie sądzę, żeby Fridman wyrzucał pieniądze w gorlickie błoto. Do jego grupy należą m.in. Alfa Bank i banki zagraniczne, największe sieci supermarketów w Rosji, udziały w jednym z większych koncernów energe-

tycznych świata, czy zagranicznych sieciach komórkowych. Ponadto, według informacji w zachodnich mediach, poprzez spółki w rajach podatkowych Michał Fridman i jego wspólnicy prowadzą inwestycje w Iranie oraz kontrolują po cichu szereg firm poza Rosją. Urodzony we Lwowie w żydowskiej rodzinie rosyjski multimiliarder głośno wspiera od kilku lat Władimira Putina.

Epilog, czyli rozpacz na Michalusa

Wiedziony ciekawością, jakiś czas temu, pozełgowałem w sieci na stronę www.glimar.pl Rafinerii Nafty Glimar S.A. w Gorlicach, mającej swoją siedzibę przy ulicy Józefa Michalusa. Najstarsza polska rafineria nafty, rok założenia 1883, nie sprzedaje już żadnych produktów naftowych. Za to świadczy usługi w zakresie ważenia samochodów, a także wynajmuje pomieszczenia biurowe, magazynowe i tzw. powierzchnie placowe. Rozpacz, klęska i upadek. Przy okazji firma Hydronaft Sp. z o.o. z Gorlic reklamuje na tej stronie zupełnie „od czapy” jakieś organizacje strażackie z Rzeszowa, parafię rzymsko-katolicką albo Zespół Szkół Weterynaryjnych w Trzcianie. Zresztą zobaczcie sami, bo Hydronaft prosi czytelników, żeby polecić wszystkim ich stronę.

Złodziejski poligon w Glimarze powoli już dogorywa. „Zostanie po nas złom żelazny i głuchy drwiący śmiech pokoleń”, te słowa poety Tadeusza Borowskiego, jakkolwiek odnoszące się do zupełnie innych czasów i zdarzeń, pozostają dzisiaj – paradoksalnie – ciągle aktualne. W istocie w gor-

lickiej rafinerii został już chyba tylko złom żelazny. Co zrobiliśmy ze schedą po Ignacym Łukasiewiczu w Gorlicach? Ale właściwie powinienem być zapytać w drugiej osobie liczby mnogiej: co zrobiliście z tą schedą, wy, elity III RP, gorlickie i niegorlickie?

Źródła: „Gorlice24”, „wSieci”, „Gazeta Krakowska”, dokumenty Sejmu RP, relacje prywatne, internet.

Ikara 5.

O willi zagrabionej rodzinie Przedpełskich przez Wojciecha Jaruzelskiego

Z Magdaleną Przedpełską, matką Ryszarda Przedpełskiego, jednego ze spadkobierców nieruchomości, którą od lat bezprawnie zajmuje generał Wojciech Jaruzelski rozmawia Maciej Rysiewicz.

Maciej Rysiewicz: Historia willi, w której mieszka dzisiaj Wojciech Jaruzelski, nie jest bliżej znana opinii publicznej. Pojawiały się, co prawda, incydentalnie, wiadomości, że generał wszedł w posiadanie tego domu niezgodnie z prawem, ale o szczegółach tej „transakcji” próżno szukać w mediach konkretnych informacji.

Magdalena Przedpełska: Nieruchomość przy ulicy Ikara 5, tj. dom i działkę 1500 m², położoną na warszawskim Mokotowie, nieopodal ulicy Puławskiej, kupili w 1938 roku od Spółdzielni Mieszkaniowej Oficerów Lotników moi teściowie Wiktor

i Lidia Przedpełscy. Na akcie notarialnym zakupu widnieje podpis Lidii. Lidia, z domu Starkmeth, była drugą żoną Wiktora Przedpełskiego. Lidia i Wiktor mieli dwóch synów Jana i Tadeusza. Do rodziny Przedpełskich weszłam w latach 60. XX w., wychodząc za mąż za Jana. Zatem Lidia i Wiktor byli moimi teściami.

Można domniemywać, że Wiktor Przedpełski był zamożnym i szanowanym obywatelem, skoro stać go było na zakup tak okazalej, na ówczesne czasy, nieruchomości w Warszawie. Czy mogłaby Pani przybliżyć Czytelnikom „3obiegu” postać Swojego teścia?

Wiktor urodził się w 1891 roku w Krasnem (powiat Ciechanów). Był absolwentem Szkoły Realnej Witolda Wróblewskiego w Warszawie (maturę zdał w 1908 roku), a potem Wydziału Chemii Politechniki we Lwowie. Od lat młodości działał w Polskiej Partii Socjalistycznej. W 1914 roku został aresztowany na terenie Królestwa Polskiego i zesłany do Rosji, do guberni tobolskiej. Do Polski wrócił w 1919 roku i jako ochotnik wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej w walkach o Lwów. Teść był jednym z organizatorów Polskiej Organizacji Wojskowej na Górnym Śląsku. Jako inspektor POW na obszarze Inspektoratu II działał w powiecie bytomskim, katowickim i zabrskim. Był także uczestnikiem powstań śląskich. W 1924 roku związał się z konspiracyjnym Związkiem Patriotycznym, a trzy lata później wstąpił do Związku Naprawy Rzeczypospolitej (był członkiem Egze-

kutywy Naczelnej). W 1928 wstąpił do BBWR i został wybrany z jego listy do sejmu RP. Do chwili wybuchu II wojny światowej działał w wielu gospodarczych organizacjach, m.in. był wiceprezesem rady nadzorczej, założonych w 1923 Zakładów Chemicznych „Kutno”, potem członkiem RG Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Był Prezesem Państwowych Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, także prezesem Polskiego Związku Bekonowego (od 1934 Polski Związek Eksporterów Bekonu i Artykułów Zwierzęcych) a od 1933 r. Polskiego Eksportu Spirytusu i Wódek. Wiktor Przedpełski był twórcą Towarzystwa Handlu Międzynarodowego „Dal” S.A., członkiem Rady Giełdy Zbożowo-Towarowej w Warszawie, a także rady nadzorczej Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego „Bacutil” i zarządu Polsko-Brytyjskiej Izby Handlowej.

Uff, tych funkcji miał chyba jeszcze więcej, ale nie o wszystkich dzisiaj pamiętam. Nie wolno zapominać, że II RP doceniła zasługi Wiktora i uczyniła go Kawalerem Orderu Virtuti Militari, Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski, Krzyża Niepodległości i Krzyża na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi. Zmarł na emigracji, w Nowym Jorku, w 1941 roku

Życiorys, że czapki z głów!

Ale niech pan nie zapomina, że brat Wiktora, Bolesław był senatorem RP. Przedpełscy to była rodzina przez duże „R” w II Rzeczypospolitej. Ale to historia na zupełnie inne opowiadanie.

Zatem wróćmy na Ikara 5!

Teściowie niedługo cieszyli się nowym domem. Wybuchła wojna. Wiktor i Lidia wyjechali z Polski do Rumunii w 1939 roku, razem z rządem i Rydzem-Śmigłym. W domu na warszawskim Mokotowie pozostała bliższa i dalsza rodzina. Trzeba pamiętać, że Lidia miała córkę z pierwszego małżeństwa, Halinę Lidię Duma de Vajda Hunyad, a Wiktor syna z pierwszego małżeństwa, Czesława. Na Ikara 5 miał kto mieszkać! Według relacji rodzinnych willa dawała schronienie akowskiemu podziemiu aż do 1944 roku, czyli do Powstania Warszawskiego. Polsce szczególnie zasłużyła się Halina Lidia Duma de Vajda Hunyad, po mężu Martin (ur. 20.08.1911 r.). Od początku okupacji przystąpiła do działalności konspiracyjnej. W czasie powstania pracowała w Biurze Informacji i Propagandy AK jako redaktorka dziennika powstańczego „Warszawa walczy”. Po wojnie zesłała do podziemia antykomunistycznego. Z tego powodu, uciekając przed aresztowaniem, przez zieloną granicę, wyjechała do Anglii jesienią 1946 roku. Willa na Ikara po Powstaniu i po wojnie opustoszała. Bez opieki właścicieli w 1945 roku została zajęta przez dzikich lokatorów.

Wiktor umarł w 1941 roku, a Lidia?

Lidia umarła w 1983 roku.

Jakie są dalsze losy nieruchomości?

Willa została odebrana rodzinie Przedpełskich w 1945 roku na mocy tzw. dekretu Bieruta. Na jego mocy na własność gmi-

ny m.st. Warszawy przechodziły wszelkie grunty w przedwojennych granicach miasta. Teoria dekretu była taka, że miał nie dotyczyć budynków, a tylko gruntów. Budynki znajdujące się na nich miały pozostać własnością dotychczasowych właścicieli. W praktyce zabierano jednak właścicielom również domy lub poddawano je obowiązkowi kwaterunku. Willę na Ikara 5 przejęło Ministerstwo Obrony Narodowej. Nieruchomość na Ikara 5 był łatwym kąskiem, bo właściciele i potencjalni spadkobiercy w 1945/1946 roku albo już nie żyli, jak Wiktor Przedpełski, albo przebywali na emigracji, jak Lidia ze swoją córką Haliną Lidią i dziećmi Janem i Tadeuszem. Nie bez znaczenia musiała być przeszłość właścicieli i ich postawa narodowo-wyzwoleńcza. Komuniści mścili się na polskich patriotach. Rodzinę Przedpełskich i Halinę Martin trzeba było represjonować! Zatem odebrano im ich przedwojenny majątek. W tym wypadku willę na Ikara 5.

Kto zarządzał majątkiem na Ikara 5 po 1945 roku?

Wojsko. To znaczy Ministerstwo Obrony Narodowej. Kto tam mieszkał i na jakiej podstawie, nie mam pojęcia.

A kiedy wprowadził się do willi Wojciech Jaruzelski?

Chyba w 1973 roku, a w 1979 roku kupił od Skarbu Państwa nasz rodzinny dom za ok. 320 tys. złotych, uzyskując od tej kwoty 70 procent bonifikaty. Czyli kupił ten dom od złodzieja (legitymującego się dekretem Bieruta), tj. od Skarbu Państwa, właściwie za darmo.

Wiem, że toczy się sądowy spór o nieruchomość przy ulicy Ikara 5 w Warszawie.

To prawda. Od lat staramy się odzyskać naszą własność. Po 1989 roku występowali w tej sprawie mój nieżyjący już mąż Jan, syn Wiktora Przedpełskiego, córka Lidii Przedpełskiej z pierwszego małżeństwa Halina Martin i mój syn Ryszard Przedpełski, mieszkający dzisiaj w Nowym Jorku. Niestety, jak na razie, bezskutecznie. Wojciech Jaruzelski nie mieszka na Ikara 5 w swoim domu. Wojciech Jaruzelski ukradł rodzinie Przedpełskich willę na Ikara nr 5 w Warszawie.

Rozumiem, że spotkamy się w nocy 13 grudnia pod willą Przedpełskich na Ikara 5, żeby wykrzyzczyć generalowi żal za nasze narodowe krzywdy. Prasa napisze, że manifestacja odbyła się pod willą Jaruzelskiego, ale to nieprawda...

Tak, to nieprawda! Willa na Ikara 5 nie należy do Wojciecha Jaruzelskiego i nigdy nie należała. Do zobaczenia na manifestacji.

Czy agent Stasi Oscar to Donald Tusk?

Na razie krążą tylko enuncjacje na ten temat, nie tylko prasowe. W tej sprawie wątpliwości już od dawna zdają się nie mieć redaktorzy strony byłych działaczy Wolnych Związków Zawodowych Kazimierz Maciejewski, Krzysztof Wyszowski i Lech Zborowski. Teraz po opublikowaniu w Niemczech książki Ralfa Georga Reutha i Günthera Lachmanna pt. „Das erste leben der Angela M.” („Pierwsze życie Angeli M.”) temat powraca ze zdwojoną siłą.

„Książka ta dotyczy życia i działalności Angeli Merkel w NRD i odsłania nieznane, a raczej utajnione dotychczas czarne strony życiorysu obecnej kanclerz Niemiec. ... *Wir können belegen, dass Angela Merkel dem DDR-System näher war als bislang bekannt. Während ihrer Tätigkeit an der Akademie der Wissenschaften der DDR war sie an ihrem Institut Funktionärin, beispielsweise*

von 1981 an als FDJ-Sekretärin für Agitation und Propaganda, was sie bis heute bestreitet. Außerdem saß sie in der Betriebsgewerkschafts-Leitung.“ ... tłumaczenie: Możemy udowodnić, że Angela Merkel ściśle współpracowała z systemem panującym w NRD. Podczas zajęć na Akademii Nauk w dawnej NRD była funkcjonariuszka partii w roku 1981 była szefem wydziału agitacji i propagandy FDJ oraz członkiem władz komisji zakładowej tejże uczelni”.

(źródło: <http://wzzw.wordpress.com/2013/05/10/merkel-ma-akta-oscar-vel-d-tuska-%E2%98%9A-przeczytaj/>).

Ralf Georg Reuth i Günther Lachmann nie pozostawiają złudzeń. Byli agenci Stasi i działacze FDJ (np. Wolfgang Schnur czy Lothar de Maiziere) tworzyli na terenie byłej NRD struktury i oddziały CDU.

Przypominają się lata 40. i 50. XX w., gdy blisko 70 procent członków NSDAP, po tzw. denazyfikacji, „spokojnie i bezstresowo”, przez nikogo nie niepokojeni, przystąpiło do odbudowy Republiki Federalnej Niemiec. W kontekście książki Reutha i Lachmanna wygląda na to, że misja lustracyjna pastora Gaucka, dzisiaj prezydenta RFN, to wielka mistyfikacja.

Tylko pobieżny rzut oka na karierę polityczną Donalda Tuska każe powątpiewać w jego czyste, zgodne z polską racją stanu, intencje. Przykłady takiego stanu rzeczy są znane wszem i wobec: „nocna zmiana” rządu Olszewskiego, powołanie do życia Platformy Obywatelskiej, która, co dzisiaj wiadać jak na dłoni, z zimną krwią dokonuje demontażu Państwa

Polskiego, wasalne stosunki z Angelą M. – kuriozalne ordery i europejskie apanaże, stocznie, Nord Stream, Smoleńsk i cały kontekst związany z zamachem i strach, wielki strach przed pułkownikiem Putinem.

Że akta Stasi (i nie tylko) leżą gdzieś na Łubiance, nie powinniśmy mieć co do tego żadnych wątpliwości. Takie dokumenty nie płoną. Że czekał się trzymają całą tę zgrają sprzedawczyków na krótkiej smyczy, tzn. za mordę, również.

Władimir Bukowski od lat przekonuje, że „przemiany” przełomu lat 80. i 90. XX w. w Europie Wschodniej zostały zaaranżowane i wykonane według „okrągłostołowych” i „pokojowych” koncepcji i instrukcji moskiewskich. To dlatego Kiszczak i Jaruzelski zostali ludźmi honoru, a Angela Merkel i pastor Gauck legitymizują wschodnioniemieckie FDJ, a Ceausescu musiał zginąć.

A Putin siedzi sobie jak 1 września 2009 roku na Westerplatte, cyniczny, dumny i arogancki i zdaje się mówić: – Zabiliśmy tę polską swołocz w Katyniu; i co nam zrobicie...

A pytanie pozostaje ciągle otwarte: – Czy agent Stasi Oscar to Donald Tusk? I tak sobie będziemy pytać... Bo nawet jeśli nie był, to wszystko co powie, może być przez Putina użyte przeciwko niemu. Na razie dużo ważniejsza w tej rozgrywce pozostaje Angela M.

TU-154M i modlitwa o Unitra ZK-140T

W czasach, kiedy człowiek ląduje na księżycu, a rakiety dalekiego zasięgu z dokładnością do kilku centymetrów potrafią zniszczyć każdy cel, w czasach, kiedy rozmowę przy kawiarnianym stoliku można podsłuchać przez szybę, w czasach, kiedy Litwinie można podać radioaktywny polon, a MI6 dłużej sobie tylko w nosie, w czasach, kiedy w Iranie, jeśli tylko przyjdzie taka potrzeba, Mosad wysadzi w powietrze każdego szefa irańskiego programu atomowego, w czasach, kiedy z dna morskiego można pozbierać tysiące resztek rozbitego samolotu i w czasach, kiedy zero-jedynkowa cywilizacja może nas podglądać wszędzie i zawsze, a więc w tych czasach odczytanie czarnej skrzynki „smoleńskiego” TU-154M trwa latami, bo, jak rozumiem, jakość nagrania z kokpitu Tupolewa pozostawia wiele do życzenia, proszę Cię Panie o reaktywację zwykłego magnetofonu Unitra ZK-140T.

Nagrywałem na nim wszystko i „Dark Side of the Moon”, i Franka Zappę, i Boba Dylana, i ciocię Ewelinę na imieniach..., i wszystko było dokładnie słycać. Unitra ZK-140T na licencji Grundiga to był sprzęt, który dzisiaj trzeba zamontować jako czarne skrzynki na wszystkich statkach powietrznych MAK-u, NATO, w Argentynie, w Nepalu i na Antarktydzie, i w Zjednoczonym Królestwie. I żeby Tatiana Anodina nie miała problemu z odczytaniem głosu generała Andrzeja Eugeniusza Błasika.

Losy TU-154M. Z ostatniej chwili

Jak podała agencja prasowa Interfax, powołując się na źródła dobrze poinformowane w Ministerstwie Obrony Federacji Rosyjskiej, wrak samolotu Tu-154M, który uległ katastrofie w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku, nie zostanie przekazany Rzeczypospolitej Polskiej. Jak stwierdza lakoniczny komunikat, samolot Tu-154M został zaprojektowany i wyprodukowany w Związku Radzieckim.

Przez cały okres eksploatacyjny był także serwisowany przez zakłady znajdujące się na terenie byłej ZSRR, a potem Federacji Rosyjskiej. Nie ma żadnych powodów, stwierdza komunikat, żeby Rzeczpospolita Polska rościła sobie jakiegokolwiek prawa do samolotu, który figuruje na liście ruchomości będących ewidentnie własnością narodu rosyjskiego i z punktu widzenia prawa może być otoczony właściwą opieką tylko

przez Federację Rosyjską. Należy także podkreślić, że władze Rzeczypospolitej Polskiej nigdy nie kwestionowały tego stanu faktycznego, stąd należy uznać, że w przedmiotowej sprawie nie istnieje jakkolwiek spór formalno-prawny pomiędzy Federacją Rosyjską i Rzeczypospolitą Polską. Komunikat Interfaksu stwierdza na koniec, że rząd Federacji Rosyjskiej zwrócił się do władz Rzeczypospolitej Polskiej z oficjalną notą dyplomatyczną, dotyczącą wypłacenia odszkodowania za szkody wyrządzone wskutek katastrofy Tu-154 M, spowodowanej przez obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, znajdujących się na pokładzie samolotu 10 kwietnia 2010 roku. Straty, zniszczenia, a także akcja ratunkowa służb Federacji Rosyjskiej kosztowały rosyjskiego podatnika blisko 10 milionów dolarów. Władze RP ze zrozumieniem podeszły do roszczeń Federacji Rosyjskiej i zaproponowały powołanie w tej sprawie dwustronnej komisji weryfikacyjnej na szczeblu ministerstw obrony obu państw z udziałem Międzynarodowego Komitetu Lotniczego (MAK) i Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego RP (KBWLLP). Pierwsze posiedzenie komisji odbędzie się w Smoleńsku w czerwcu bieżącego roku”.

U „Doriana Greya” w Moskwie albo Beluga Noble Vodka

Jeśli Tomasz Arabski uważa, że jego spotkanie 17 marca 2010 roku w Moskwie z Jurijem Uszakowem i Igozem Sieczinem w restauracji „Dorian Grey”, mieszczącej się o „rzut beretem” od Kremla, nie było nagrywane przez FSB, to... Nie, nie, panie Tomaszu, nie mam pana oczywiście za kompletnego idiotę. Za zdrajcę, to i owszem, ale za idiotę nigdy w życiu! I wie pan, nie nagrywali pana jacyś tam amatorzy od „Sowy i przyjaciół”, tylko prawdziwi fachowcy. I powiem panu jeszcze jedno... Na nagraniu, które zdeponowano potem gdzieś na Łubiance, słychać wyraźnie nie tylko każde słowo przez pana wypowiedziane, ale także najłżejszy oddech. To nie Tupolew, którego czarne skrzynki zamiast rozmów pilotów z generałem Błasikiem nagrywały wyłącznie ryk silników i przez pięć lat nie daje się odsłuchać nagrań, ale najlepsze profesjonalne japońskie mikrofony kierunkowe... A przecież

była jeszcze kamera, która zarejestrowała, jak pot spływał panu po skroni, a lewa powieka drgała nerwowo i że nie mógł pan nad tym zapanować. „Kelnerzy” z „Doriana Greya” nie spartaczyli tej roboty, nie ma mowy.

Pamięta pan, jak w pewnej chwili Sieczin (a może Uszakow), poluzowawszy krawat, bo druga wódka leciutko rozgrzewa i dodaje wigoru, zaproponował panu brudzia? – Nu, gospodin Arabski, a szto ty takoj napriozennyj. Wsio budiet haraszo. Wasz „prezydent gdzieś poleci i to się wszystko zmieni” – i śmiał się od ucha do ucha. Ja wiem, tego brudzia już nie dało się odmówić. Przecież wtedy, panie Tomaszu, pan wykonywał zadanie frontowe. A pierwsze spotkanie z Uszakowem i Grininem, jeszcze w Warszawie 25 lutego 2010 roku dodało panu pewności siebie. Było nie było działał pan wtedy na własnych śmieciach. Nie taki diabeł straszny, jak go malują – myślał pan – tych Ruskich da się i rozegrać, i wykorzystać. Ale w Moskwie zaczęła panu dokuczać samotność. A samotność rodzi strach i krople potu. Donald oczywiście nie mógł panu towarzyszyć, ani Radek. Ech, z nimi byłoby różniej – próbował pan zagłuszyć w sobie tę coraz większą niepewność. Trzeba przyznać, że rzucili pana na głęboką wodę, a pana czujność zawiodła. Trudno do pana mieć jednak pretensje. Przecież w NZS-ie czy „Dzienniku Bałtyckim” taka czujność do niczego właściwie nie była potrzebna!

Wiem, wiem, panie Tomku, teraz nie może pan zapomnieć tego chichotu Sieczina. Takich chwil nie da się wyrzu-

cić z pamięci. Roznosi się panu ten śmiech po głowie, że obłędu można dostać w tym Madrycie.

Ale to już nie minie, panie Tomaszu, tak już będzie do końca.

W sumie to jednak głupio wyszło. Nie sądzi pan, panie Tomku? Chyba nie tylko Grześka Michniewicza żal. Donek rzadko dzwoni z Brukseli, a jak dzwoni, to jakiś taki nieswój, niepewny swego, jak nigdy. A Radek z Bronkiem to nawet kompletnie zamilkli. Na dodatek rodziny smoleńskie czepiają się pana w sądzie za organizację lotu, który przecież Sieczin z Uszakowem zorganizowali, a nie pan. No dobra, swoje dwa grosze pan jednak do tego dorzucił; choćby u „Doriana Greya”, gdzie raczył się pan Belugą. Ekstra wódka, prawda? Drugiej takiej ze świecą szukać po całym świecie. Jeszcze w Moskwie Uszakow (albo Sieczin) wręczyli panu butelkę Belugi dla Donka, ale sprawy od 10 kwietnia toczyły się tak szybko, że nie było kiedy tej wódki wypić. A teraz stoi ta Beluga w pana barku w Madrycie i straszy.

Potwornie straszy!

Egzekucja

W III RP zbudowano system społeczno-polityczny właściwie doskonały. Inżynierowie postpeerelowskiej „wolności” skutecznie zadbali, żeby tzw. Naród już nigdy nie powstał i nie upomniał się o swoje prawa. Wszystkie tzw. reformy, które w istocie były przestępczym zamachem na uniwersalne republikańskie zasady suwerenności i podmiotowości społeczeństwa, doprowadziły Polskę nad skraj upadłości: ekonomicznej i ideologicznej. Krajem rządzą oligarchiczne grupy interesu, sitwy i kliki, także mafijne, zasiedziały już chyba na amen w samorządach, w administracji państwowej i żyjące z nimi w symbiozie struktury kilku partii politycznych. To kilka milionów ludzi, którzy żerowali i żerują na majątku narodowym. To kilka milionów ludzi niezainteresowanych żadnymi zmianami. Względnie sytych. To kilka milionów ludzi, dla których liczy się tylko tu i teraz. Na ich potrzeby pracują instytucje i korporacje państwowe, takie jak

wymiar sprawiedliwości, który w swoim obecnym kształcie jest nie do obalenia. Adwokaci, ale przede wszystkim prokuratorzy i sędziowie w poczuciu korporacyjnej solidarności dopuszczają się przestępstw w poważnych, ale co najgorsze, w całkiem błahych sprawach, dotyczących zwykłego zjadacza chleba z kraju nad Wisłą. Ta głęboko przemyślana akcja rozplenila w społeczeństwie chwasty zwątpienia, a właściwie kompletnej rezygnacji.

Znowu „oni” rządzą i rozdają przywileje, a reszta albo marzy, żeby się z „onymi” zblatować, albo sfrustrowana trwa na marginesach życia, albo ucieka stąd gdzie pieprz rośnie. Tylko nieliczni już walczą, ale bez prochu i amunicji. „Oni” urządzili to o niebo skuteczniej niż „czerwoni”, bo rozdali przywileje większej grupie ludzi (zob. rozbuchane liczebnie do absurdu samorządy i administracja państwowa), a potencjalne źródło niepokojów okradli z dobytku i unicestwili (zob. chociażby NFI, przemysł, stocznie, OFE), potem zastraszyli fizycznie i ekonomicznie, w końcu rozgonili po Polsce i „świecie współczesnym”. Potencjalną rewolucję, choćby jej isierkę, należało zdusić w zarodku. I chyba się udało.

Co roku od 25 lat szkoły kończą kolejne pokolenia obywateli naznaczonych nie tylko oportunizmem, tzn. z przetrąconym kręgosłupem ideowym, ale i wtórnym analfabetyzmem. W szkołach już nikt albo prawie nikt, bo nie chodzi tu o wyjątki, nie czyta literatury ze zrozumieniem. Spór „ideologiczny” toczy się na poziomie prymitywnego konsumpcjonizmu, który znakomicie oddaje powtarzane jak mantra od Szczecina do

Przemyśla i od Mazur po Sudety wyznanie, że w tym świecie liczy się „fura, skóra i komóra”.

Napisał Wieszczyk:

*Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.*

Profetyczne słowa. Dzisiaj ta zaraza toczy współczesną Polskę, a ognisk jej tysiące. Przywlokła ją także tzw. Unia Europejska z jej hegemonem potężną „IV Rzeszą” niemiecką, które z uporem godnym lepszej sprawy wmówiły Polakom, że powinni stać się Europejczykami i wyzbyć się swoich wszelkich klejnotów narodowych i republikańskiego etosu. Ten opresyjny organizm berlińsko-brukselski, z Putinem w tle, zawsze będzie stał po stronie „onych” i nie kiwnie palcem ani w sprawie Smoleńska, ani w sprawie sfałszowanych wyborów. W zamian dofinansuje nam kostkę bauma i termoizolacje szkół, do których za chwilę nie będzie miał kto chodzić.

Tej zarazie już nie poradzą górnicy, rolnicy i kolejarze. Bo nawet jeśli zablokują jutro drogi do Warszawy i obalą rząd Ewy Kopacz, to wpadnie jakiś Schetyń i zapyta „pomożecie”? „Pomożemy”, odpowiedzą strajkujący, bo czy z dnia na dzień można wymienić wszystkie struktury państwa, przegonić 5 milionów funkcjonariuszy systemu z samorządów i administracji, z agencji, z sądów, z policji, z wojska, z zarządu kompanii węglowej? To przecież krew z krwi i kość z kości

nowego społeczeństwa, które udało się zbudować po 1989 roku.

Kilku frustratów tu i ówdzie próbuje jeszcze bronić wartości i krzyczy wniebogłosy, że ten kraj tonie w objęciach długów, korupcji i głupoty, że nieprzyjaciel i zdrada u bram... Jednak na niewielu robi to jeszcze jakieś wrażenie. W głowach zaraza i w sercach zaraza. Póki chcieli cię wziąć siłą Polaku, to się stawiałeś przez długie lata, a wystarczyło, że ci postawili Biedronkę i Real pod blokiem, w krótkim czasie spokorniałeś. I nawet jak zaczną prywatyzować lasy, to rozejrzysz się bezradnie dookoła i włączysz „Szkło kontaktowe”. Przecież do lasu i tak dawno nie chodziłeś, bo ci się nie chciało. Wystarczy, że pokazują las w telewizorze. To po co ci polskie lasy...

Maciej Rysiewicz

Urodzony w 1959 roku w Warszawie. Absolwent VI LO im. Tadeusza Reytana w Warszawie i Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Od dziecka związany z Ziemią Sądecko-Gorlicką i rodzinnymi Wilczyskami-Jeżowem w małopolskiej gminie Bobowa. Publicysta, dziennikarz i wydawca. Twórca portali *Bobowa Od-Nowa* i *Gorlice i Okolice* w powiecie gorlickim (www.gorliceiokolice.eu). W latach 2004-2013 wydawca i redaktor naczelny czasopism „Kalendarz Pszczelarza” i „Przegląd Pszczelarski”. Od 2013 roku zastępca redaktora naczelnego portalu społeczno-politycznego „3obieg” a od 2014 roku redaktor naczelny portalu „Zdrowie za Zdrowie”. Współautor książek (wraz z Jerzym Żakiem) *Ule i pasieki w Polsce* (Złoty Medal w Durban - Apimondia 2001) i *Krynica Zdrój - miasto, ludzie, okolice*. Redaktor prowadzący wielu książek, m. in.: *Wielkiego atlasu roślin miododajnych* Zbigniewa Kołtowskiego (Złoty Medal w Melbourne - Apimondia 2007) i *Bobowa - historia, ludzie, zabytki* Karola Majchra, *Dwór w Jeżowie. Szlacheckie gniazdo nad Białą Dunajcową* Piotra Gryglaszewskiego. Właściciel Wydawnictwa Wilczyska (www.wilczyska.eu). Członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich..

Zburzyć Pałac Kultury!
123
Plac Bohaterów w Budapeszcie
127
Gdzie czai się zdrada?
131
Polskie elity
137
Tajemnice III RP
141
Agonia polskiej wsi
145
Glimar w Gorlicach
– anatomia grabieży
153
Ikara 5.
179
O willi zagrabionej rodzinie Przedpeńskich przez Wojciecha
Jaruzelskiego
179
Czy agent Stasi Oscar
to Donald Tusk?
185
TU-154M
i modlitwa o Unitra ZK-140T
189
Losy TU-154M.

Z ostatniej chwili
191
U „Doriana Greya” w Moskwie albo Beluga Noble Vodka
193
Egzekucja
197

